

Polonia Semper Fidelis

Miesięcznik nr 138(173) Luty 2020

W 157 rocznicę Powstania Styczniowego



Artur Grottger—*Bitwa* (1863)

Połowa XIX wieku przyniosła wydarzenia, które wyzwoliły w Polakach wiele nadziei na odzyskanie niepodległości od jednego z najbardziej nienawidzonych państw rozbiorczych—Rosji. Wybuch wojny krymskiej oraz sromotna klęska Imperium carów ukazała w pełni słabość rosyjskiej gospodarki, a—co za tym szło—armii. Była to pierwsza w historii wojna, która była na bieżąco relacjonowana w prasie dzięki udoskonalonemu telegrafowi Morse’a. Porażki armii rosyjskiej były śledzone na całym obszarze byłej Rzeczypospolitej (w tym zwłaszcza w Królestwie Polskim) z zapartym tchem. Informacje na temat walk na Krymie, zakończonych zdobyciem przez połączone siły Imperium Osmańskiego, Anglii i Francji Sewastopola, przy jednoczesnych atakach floty brytyjskiej na porty rosyjskie na Bałtyku oraz całkowita blokada rosyjskiej Floty Bałtyckiej, wywoływały powszechny entuzjazm. W 1856 roku Rosja podpisała w Paryżu traktat pokojowy, na mocy którego nie wolno jej było posiadać żadnej floty wojennej na Morzu Czarnym ani budować tam służących temu portów.

Dodatkowo, śmierć nienawidzonego cara Mikołaja I Romanowicza jeszcze w trakcie samej wojny (1855 rok), odpowiedzialnego za krwawe represje po Powstaniu Listopadowym oraz za likwidację polskiej armii oraz instytucji samorządowych, została odebrana w Królestwie Polskim oraz na ziemiach zabranych (Litwie i Ukrainie) jako znak „początku końca” rosyjskiego panowania. Niemal natychmiast zaczęły powstawać różnego typu konspiracyjne organizacje, grupujące zazwyczaj ludzi młodych. Jako główny cel wyznaczały sobie one przygotowanie do wybuchu powstania narodowego w

Ciąg dalszy na stronie 2

W numerze m.in.:

Strony 1, 2, 3, 4 i 5

W 157 rocznicę Powstania
Styczniowego

Strony 6 i 7

Wyciąganie ze studni: Problem Nr
2

Strona 7

Avaritia et arrogantia praecipua
validiorum vitia

Strony 8 i 22

45 % Polaków głosuje na
„totalną”. Z czego się cieszyć ?

Strona 9

Uśmiechnij się...

Strony 10, 11, 12, 13 i 14

Seks, kłamstwa i samobójstwo

Strona 14 i 15

Zaczyna być ciekawie

Strony 15 i 21

Ostro, i z przytupem

Strona 17

Rubikon przekroczony

Strony 18, 19, 20 i 21

Nobel na służbie

Strona 22

Z życia Polonia Semper Fidelis:
Zosia Niemczak Mistrzynią Polski
w pływaniu !

zaborze rosyjskim. Nie były one liczne i koncentrowały się raczej na przygotowaniach teoretycznym przyszłej kadry powstania. Co ciekawe, najszybciej takie organizacje powstały w Petersburgu (Koło Oficerów Polskich na Akademii Sztabu Generalnego pod przywództwem Zygmunta Sierakowskiego, a potem Jarosława Dąbrowskiego) czy na Uniwersytecie Kijowskim (organizacja „Ogół”, z której wyłonił się bardziej zakonspirowany „Związek Trojnicki”). Dodatkowo, w 1861 roku Ludwik Mierosławski założył w Genui Polską Szkołę Wojskową, przeniesioną następnie do Cuomo, w której kształciło się około 200 osób.

Były to jednak organizacje niewielkie, bez wielkiego zaplecza w kraju, poszukujące najczęściej dopiero kontaktów. Ich uczestnicy byli bardziej rewolucjonistami, przepojonymi nowinkami liberalno-masońskimi, płynącymi tradycyjnie z Francji. Stąd też szybko poczęli być znani pod nazwą organizacji czerwonych. Niedługo też zaczęli oni zdobywać sobie zwolenników i w Królestwie Polskim na bazie coraz bardziej powszechnego oporu Polaków wobec władzy carskiej.

Nowy car Aleksander II—po klęsce wojny krymskiej wybrał drogę liberalizacji polityki w stosunku do Królestwa Polskiego, wprowadzając reformy systemowe. Już w 1857 roku powstała w Warszawie Akademia Medyko-Chirurgiczna, która od razu przyciągnęła bojowo nastawioną młodzież. Na niej właśnie oraz w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych zaczęto organizować konspiracyjne kółka rodzące się organizacji czerwonych.

Na fali reform systemowych ukazem Aleksandra II z 24 listopada 1857 roku utworzono ziemiańskie Towarzystwo Rolnicze—organizację pozarządową, zajmującą się oświatą chłopów i przygotowaniem do ich uwłaszczenia. Prezesem Towarzystwa został hrabia Andrzej Zamoyski. Towarzystwo stawiało na pracę organiczną i wywieranie presji na władze w kierunku zwiększenia reform. Niestety, i z tak ograniczonym programem

postrzegane było jako zagrożenie dla władz i już 6 kwietnia 1861 roku zostało rozwiązane przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, renegata, postawionego na czele tzw. rządu cywilnego Królestwa Polskiego.

W dniu 11 czerwca 1860 roku nastąpiło otwarcie nowego rozdziału, prowadzącego do wybuchu Powstania Styczniowego. Po raz pierwszy od 30 lat odbyła się w Warszawie olbrzymia demonstracja patriotyczna, w jaką się przemienił pogrzeb wdowy po legendarnym obrońcy Woli w 1831 roku, generale Józefie Sowińskim. Podczas tej demonstracji po raz pierwszy zabrzmiały dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego”, grane przez trębacza dyliżansu pocztowego.

Po niej następowały kolejne demonstracje, z których warto wymienić choćby demonstrację w rocznicę Nocy Listopadowej 29 listopada 1860 roku, podczas której po raz pierwszy odśpiewano hymn „Boże coś Polskę” ze zmienioną końcówką: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie”. Pieśń ta została napisana przez Alojzego Felińskiego w 1816 roku na zamówienie wielkiego księcia Konstantego na cześć króla polskiego cara Aleksandra I (po utworzeniu przez niego po Kongresie Wiedeńskim marionetkowego Królestwa Polskiego). W oryginale kończyła się słowami: „Naszego króla zachowaj nam Panie”. Dopiero demonstracja z 29 listopada 1860 roku zmieniła słowa za sprawą Artura Góreckiego.

Demonstracje trwały przez cały 1861 rok, częstokroć tłumione krwawo przez wojska carskie (np. manifestacja z 8 kwietnia 1861 w proteście przeciwko rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego, do stłumienia której wojsko rosyjskie użyło broni palnej, zabijając około 100 osób). W ten sposób zmieniały się one w konfrontacje z władzą. Dla pacyfikacji nastrojów car Aleksander II zdecydował się pójść na dalsze ustępstwa. 18 czerwca 1861 roku ogłoszono 4 ukazy carskie, datowane na 5 czerwca. Reaktywowano w nich Radę Stanu, powoływano pochodzące z wyboru rady miejskie w 28

miastach, powiatowe w każdym z 39 powiatów i tworzone rady gubernialne, składające się z członków, delegowanych przez rady powiatowe.

Było to jednak zbyt mało i zbyt późno. Demonstracje nasiliły się i były organizowane nie tylko w Królestwie, lecz również na Litwie, Rusi i w Galicji. Wszystkie one były krwawo tłumione przez wojsko carskie. 10 października 1861 roku w 448 rocznicę Unii Horodelskiej odbyła się w Horodle ogromna manifestacja tłumów, zgromadzonych po obu brzegach Bugu. Tego samego dnia odbyła się tłumna manifestacja w czasie pogrzebu arcybiskupa warszawskiego Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, wielkiego zwolennika ruchów patriotycznych.

To za jego życia Kościół Katolicki włączył się w nurt manifestacji, zaś w kościołach raz po raz odbywały się msze za Ojczyznę. Arcybiskup cieszył się wielkim mirem wśród Polaków. W kondukcie pogrzebowym niesiono insygnia królewskie oraz herby Polski i Litwy.

Nowy namiestnik rosyjski Karol hrabia Lambert, niemal bezpośrednio po pogrzebie arcybiskupa Fijałkowskiego, w dniu 14 października, wprowadził w Królestwie stan wojenny. Już następnego dnia odbyła się wielka demonstracja w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki. Wojsko rosyjskie nie tylko brutalnie ją stłumiło, ale wdzierając się do kościołów, skąd wywlekano i aresztowano wiernych. W odpowiedzi na to Kuria Warszawska zdecydowała się w proteście na zamknięcie sprofanowanych kościołów.

Na mocy porozumienia między Rosją a Stolicą Apostolską, na miejsce zmarłego ks. arcybiskupa Fijałkowskiego mianowano arcybiskupem warszawskim ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. Głównym warunkiem, stawianym przez cara było otwarcie warszawskich kościołów. Tak też się stało i nowy arcybiskup po przyjeździe do Warszawy

w lutym 1862 roku doprowadził do ich otwarcia. On sam sympatyzował z organizacją białych, ale—wobec zaostrej sytuacji i obowiązywania w Królestwie stanu wojennego—musiał dbać w pierwszej kolejności o Kościół w Polsce oraz o maksymalne zmniejszenie zadrażeń z władzami, odpowiadającymi represjami. Dlatego jego pojawienie się w Warszawie nie spotkało się początkowo z przychylnym przyjęciem. Sądono, że jest on nasłany z Rosji, z nominacji carskiej. Wielokrotnie zdarzało się, że w czasie jego homilii wierni demonstracyjnie opuszczali kościół. Ks. arcybiskup Feliński jeszcze wtedy wierzył, że możliwe jest znalezienie jakiegoś „złotego środka”, który pozwoliłby w drodze legalnej dopominać się o prawa Narodu Polskiego.

Obowiązywanie stanu wojennego w 1862 roku oraz uspokojenie nastrojów ze strony Kurii wyciszyło niejako manifestacje. Było to jednak wyciszenie pozorne, jako że organizacja czerwonych i ich Komitet Centralny Narodowy rozpoczęły przygotowania konspiracyjne do wybuchu



Artur Grottger—Zamykanie kościołów (z cyklu Warszawa I) 1861

powstania na wiosnę 1863 roku. Równie aktywną działalność prowadził Komitet

Prowincjonalny Litewski oraz—utworzony w sierpniu 1862 roku—Komitet Prowincjonalny Rusi.

Tymczasem renegat margrabia Aleksander Wielopolski jako namiestnik cywilnego rządu Królestwa Polskiego był świadom istnienia rosnącej konspiracji, podsuwając ideę jej likwidacji poprzez tzw. „brankę” do armii carskiej. Pogłoski o tym dochodziły do Komitetu Centralnego Narodowego czerwonych. 3 stycznia 1863 roku KCN postanowił o wybuchu powstania w momencie ogłoszenia „branki”

Nie była to regularna „branka”, lecz—w zgodzie z planami Wielopolskiego—miała ona obejmować ponad 12 tysięcy młodych ludzi, według uprzednio przygotowanych list proskrypcyjnych. Byli na tych listach uczestnicy demonstracji patriotycznych, zaś celem było całkowite wyeliminowanie ich na długie lata z jakiegokolwiek kontaktu z Polską. Należy sobie uświadomić, że wcielenie do armii rosyjskiej obejmowało 25 lat służby. Swoją szatański plan Wielopolski ogłosił w początkach stycznia i zarządził jej przeprowadzenie w połowie tego miesiąca. To spowodowało, że objęci listami proskrypcyjnymi zaczęli opuszczać Warszawę oraz regiony miejskie Królestwa, przechodząc na prowincję, najczęściej (ze względu na porę roku) do dworów ziemiańskich oraz klasztorów i podległych im zabudowań. „Branka” trafiła w próżnię, a władze rosyjskie zatrzymały jedynie kilkaset osób.

Ponieważ władze rosyjskie zakładały rozpoczęcie „branki” na prowincji w dniu 25 stycznia, Tymczasowy Rząd Narodowy (utworzony przez Komitet Centralny Narodowy w dniu 16 stycznia) ogłosił na noc z 22 na 23 stycznia 1863 roku wybuch powstania ogólnonarodowego.

Zarówno sama data wybuchu, jak i stopień zorganizowania oddziałów nie były dobre. Termin został niejako narzucony przez przeciwnika ogłoszeniem „branki”, zaś w samym Komitecie ścierały się różne koncepcje prowadzenia walki, jego kierownictwo było silnie skłócone. Jarosław Dąbrowski chciał uderzenia na silnie bronioną twierdzę w Modlinie, by tam

dozbroić oddziały i następnie zająć Warszawę, co od samego początku było niedorzecznym pomysłem wobec słabego wyposażenia bojowego powstańców. Powołany na dyktatora powstania Ludwik Mierosławski (przebywający wówczas w Paryżu) optował za zajęciem nie tylko Modlina, ale Warszawy i twierdzy w Dęblinie. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja zdobycia Płocka, gdzie miał się ujawnić Rząd Narodowy, którego członkowie tymczasem wyjechali do Kutna, by tam czekać na rozwój sytuacji. W zastępstwie powołano w Warszawie tzw. Komisję Wykonawczą ze Stefanem Bobrowskim na czele, która z konieczności kierowała pierwszymi dniami powstania.

Oddziały Zygmunta Padlewskiego nie mogły zdobyć Płocka, więc i początkowe koncepcje runęły. Jeszcze przed wybuchem powstania KCN narzucił zarys organizacyjny sił powstańczych, który był strukturą geograficzną. I tak naczelnikami powstania zostali: na Mazowszu Zygmunt Padlewski, regionu płockiego Kazimierz Konrad Błaszczyński, Podlasia Walenty Lewandowski oraz sandomierskiego Marian Langiewicz.

W Królestwie Polskim stacjonowała wtedy 100-tysięczna armia rosyjska pod dowództwem gen. Edouarda Andrejowicza Ramsaya. Dysponowała ona pięcioma dywizjami piechoty (w tym doborową gwardyjską), jedną dywizją jazdy, pięcioma brygadami artylerii (176 dział), 9 pułkami kozackimi i oddziałami pomocniczymi. Oddziały powstańcze dysponowały i pierwszych miesiącach około 10 tysiącami słabo bądź wręcz nieuzbrojonymi ludźmi, w większości nie posiadającymi żadnego przeszkolenia wojskowego. Broń chciano zdobywać na wrogu.

Na korzyść powstańców przemawiało rozproszenie armii rosyjskiej po małych garnizonach miejskich. Sprzyjało to przyjętej jako jedynie realnej koncepcji walki partyzanckiej autorstwa Zygmunta

Sierakowskiego, a i przyniosło sukcesy w pierwszych dwóch miesiącach walk. Rosjanie zaczęli bowiem przegrupowywać wtedy siły, łącząc je w większe jednostki bojowe i pozostawiając nieobsadzone mniejsze miejscowości, z łatwością przechwytywane przez powstańców. Dodatkowo, w trakcie przegrupowania łatwiej było zaatakować mniejsze jednostki, a także przeciąć armii rosyjskiej połączenia komunikacyjne np. szosę brzeską oraz linię kolejową warszawsko-petersburską. Na parę tygodni uniemożliwiło to armii przyjęcie aprowizacji oraz uzupełnień.

W pierwszych dniach powstania uderzono na garnizony rosyjskie w województwach: mazowieckim, podlaskim, augustowskim, płockim, lubelskim i sandomierskim. Prawie wszystkie uderzenia zostały odparte przez Rosjan. Powstańcy przeszli do etapu zakładania obozów szkoleniowych. Zazwyczaj mieściły się one w lasach lub w zabudowaniach przyklasztornych, z czasem w zabudowaniach ziemiańskich. Próbowano naprędcie z „pospolitego ruszenia” zrobić żołnierzy. Obozy takie—będące zarazem ośrodkami powstańczymi—znajdowały się m.in. w Węgrowie (pod Janem Malińskim i Władysławem Jabłonowskim—około 3500 ochotników), w Siemiatyczach (pod Władysławem Cichorskim—około 3000 ochotników), w Ojcowie (pod Apolinarem Kurowskim—około 2500 ochotników), w Wąchocku (pod Marianem Langiewiczem—około 1400 ochotników) czy w Janowie (pod Janem Rogińskim—około 1000 ochotników). Było też kilka innych obozów po kilkaset osób w rejonie między Łomżą a Augustowem.

Żywoć takich obozów nie był długi i zostały one rozbite przez wojska rosyjskie w marcu i kwietniu 1863 roku. Taki los spotkał m.in. Zgrupowanie Mariana Langiewicza, który—po kilku wygranych potyczkach—został wyparty z Królestwa Polskiego i 19 marca 1863 roku przekroczył granicę zaboru

austriackiego pod Opatowcem, gdzie jego oddział został rozbrojony i internowany. Właśnie przeciwko niemu skierował się pierwszy impet uderzenia wojsk rosyjskich po tym, jak Marian Langiewicz został ogłoszony następcą Ludwika Mierosławskiego jako dyktator powstania.

Znacznie mniej szczęścia mieli dowódcy powstańczy na Litwie czy na Wołyniu. Tam powstanie wybuchło dopiero w lutym. Kampanie Zygmunta Sierakowskiego (Litwa—marzec i kwiecień 1863) czy Edmunda Różyckiego (Wołyń—kwiecień i maj) zostały po prostu zmiażdżone przez armię rosyjską, powstańcy w większości zabici lub posłani na Sybir. Klęska obu tych kampanii położyła ostateczny kres powstaniu na ziemiach zabranych.

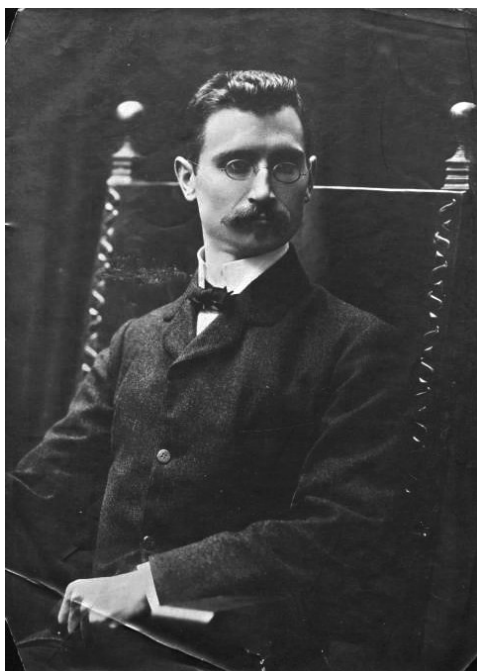
Niedobitki marcowej kampanii Mariana Langiewicza zdołał zebrać i zreorganizować (już na styl wojskowy) gen. Józef Hauke-Bosak.

W miejsce podziału, opartego na administracji cywilnej wprowadził on podział na korpusy i dywizje. Były to jednak struktury raczej pobożnie-życzeniowa, jako że ani liczebnością, ani też uzbrojeniem oddziały powstańcze nie mogły się równać z pełnowartościowymi odpowiednikami wojskowymi.

Tymczasem Rząd Narodowy, zakonspirowany w Warszawie, wydawał dekryty i rozporządzenia częstokroć oderwane od rzeczywistości z pola walki. Kampania gen. Hauke-Bosaka (wrzesień 1863 do lutego 1864), odnosząca początkowo sukcesy w potyczkach z oddziałami rosyjskimi sprawiła, że stał się on znanym dowódcą. Mianowany 17 października 1863 roku dyktatorem powstania Romuald Traugutt od razu zaakceptował reorganizację wojskową, która tworzyła cztery korpusy powstańcze w Królestwie Polskim. W praktyce jednak jedynie korpus gen. Hauke-Bosaka był realną siłą. Walki powstańcze w innych regionach kraju powoli dogasały, a 24 lutego 1864 roku Rosjanom udało się rozgromić polskie siły powstańcze w Górach Świętokrzyskich w bitwie pod

Opatowem. Reszta oddziałów korpusu gen. Hauke-Bosaka została rozgromiona w kwietniu.

Poszczególne, mniejsze oddziały powstańcze walczyły jeszcze w ciągu roku 1864 w całkowitym odosobnieniu. Najdłużej, bo do grudnia 1864 roku utrzymał się na Podlasiu oddział ks. Stanisława Brzóska. Po ujęciu przez Rosjan ks. Stanisław Brzóska został powieszony w Sokołowie Podlaskim.



Romuald Traugutt - ostatni dyktator Powstania Styczniowego, stracony w 1864 roku (fot. archiwum)

Działalność Rządu Narodowego i dyktatura Romualda Traugutta zakończyła się pojmaniem i powieszeniem na stokach Cytadeli Warszawskiej w dniu 5 sierpnia 1864 roku. Wraz z dyktatorem zostali powieszeni członkowie Rządu Narodowego: Roman Żuliński, Józef Toczyski, Rafał Krajewski i Jan Jeziorański.

Represje władz rosyjskich rozpoczęły się równolegle z wybuchem powstania. Na terenie całego Królestwa Polskiego wielki książę Konstanty Mikołajewicz Romanow

przywrócił (zawieszony we wrześniu 1862 roku) stan wojenny z doraźnymi sądami, ferującymi wyroki śmierci. Na Litwie wielkim okrucieństwem zasłynął tamtejszy generał-gubernator Michał Murawiew, któremu dodano przydomek „Wieszateli”. Z jego rozkazu rozstrzelano bądź powieszono około 700 osób a 40 tysięcy zesłano na katorgę na Sybir.

Po upadku powstania skonfiskowano około 1600 majątków ziemskich, oddając je na licytację lub obdarowując nimi oficerów rosyjskich. Ogółem w Królestwie straciło życie (w walkach lub straconych) kilkadziesiąt tysięcy powstańców a około 30 tysięcy wywieziono na katorgę.

Represje dotknęły zwłaszcza Kościół Katolicki ze względu na czynne zaangażowanie się kapłanów w oddziałach powstańczych zarówno jako kapelanów, jak również jako dowódców samych oddziałów. Jako pierwszym, który zapłacił cenę zesłania był arcybiskup warszawski Zygmunt Szczęśny Feliński (ten sam, którego powitano nieprzychylnie w Warszawie ze względu na jego zarządzenie otwarcia zamkniętych kościołów). Na znak protestu przeciw represjom napisał on w dniu 15 marca 1863 roku list do cara Aleksandra II, w którym nawoływał: „...uczyn z Polski kraj niepodległy.” Odwoływał się przy tym do wartości chrześcijańskich, przy jednoczesnym zachowaniu szacunku do władzy. Namiestnik Królestwa Polskiego, wielki książę Konstanty Mikołajewicz, na którego ręce arcybiskup Feliński złożył ów list, nie zgodził się na jego wysłanie do cara. Tym niemniej list został opublikowany we francuskim piśmie „Journal”, co spowodowało natychmiastowe, 20-letnie zesłanie arcybiskupa do Jarosławia nad Wołgą. Władze carskie proponowały mu tam powrót do Warszawy ale za cenę całkowitego zerwania kontaktów ze Stolicą Apostolską i poddanie się wyłącznej woli cara. Arcybiskup tej ceny nie mógł zaakceptować. Po długich negocjacjach między władzami a Stolicą Apostolską został on wreszcie zwolniony z zesłania po prekanonizowaniu go na biskupa Tarsu w 1883 roku. Zabroniono mu jednak w

drodze z zesłania przekroczenia granic archidiecezji warszawskiej—udał się on przez Lwów i Kraków do Rzymu, wszędzie tym razem witany jako bohater narodowy.

Represje popowstaniowe spowodowały kasatę przez władze wszystkich klasztorów w Królestwie za wsparcie, jakiego zakonnicy udzielali powstańcom. Ich majątki zostały skonfiskowane i najczęściej służyły przez krótszy lub dłuższy czas jako koszary armii rosyjskiej. Wielu zakonników wywieziono na katorgę na Sybir, zaś tych, których pojmano walczących rozstrzeliwano lub wieszano na miejscu.

Powstania Styczniowego spowodował pewne reakcje na polu międzynarodowym, lecz były one ograniczone. Natychmiast po wybuchu władze niemieckie skoncentrowały połowę swojej armii na granicy z Królestwem, a 8 kwietnia podpisały z Rosją tzw. konwencję

Alvenslebena, na mocy której obie strony zobowiązały się do wzajemnej pomocy na żądanie drugiej strony. Umocniło to stary sojusz rozbiorny. Co prawda, w miesiąc później, wobec dyplomatycznej akcji Anglii, Francji i Austrii, domagającej się od Rosji działań wojennych oraz dalszych reform na ziemiach polskich, z konwencji tej oficjalnie zrezygnowano. Jednakże w praktyce współpraca rosyjsko-niemiecka podczas całego powstania była faktem.

Francja, Anglia i Austria złożyły w Moskwie ostre noty dyplomatyczne, lecz na tym się skończyło i car Aleksander II oddalił je w dniu 7 lipca 1863 roku. Zdawał sobie sprawę, że w sprawie polskiej miał mocne oparcie w Niemczech, zaś konflikt zbrojny groził teraz wojną europejską, której państwa zachodnie starały się uniknąć. W następnym roku zresztą od Anglii i Francji odłączyła się Austria, powracając do starego układu rozbiornego.

Podsumowując można powiedzieć, że Powstanie Styczniowe było nie tylko najgorzej przygotowanym zrywem. Brak jakiegokolwiek planu, wsparcia finansowego czy fatalne braki organizacyjne, widoczne od pierwszego dnia, musiały skończyć się wielką klęską i ogólnonarodową tragedią, na której nie można było budować żadnej, realnej siły niepodległościowej.

Jedyną stroną, która zyskała na Powstaniu Styczniowym były Stany Unii (Północy) podczas wojny secesyjnej. Poparły one we wszystkim „liberalną Rosję przeciwko rakcyjnej, katolickiej i despotycznej” Polsce. Na jesieni 1863 roku do portu w Nowym Jorku wpłynęła rosyjska flota bałtycka, która chroniła Północ przed ewentualnymi konwojami brytyjsko-francuskimi dla Konfederacji Stanów Południowych, przyczyniając się w jakiś sposób do zwycięstwa Unii nad Konfederacją w wojnie secesyjnej i stając się kamieniem milowym przyjaźni między USA a Rosją.

Stanisław Matejczuk



Herb Rzeczypospolitej wprowadzony przez władze Powstania Styczniowego, nawiązujący do trzech jej części składowych: Korony Polskiej, Litwy oraz Ukrainy (fot. archiwum)

W poprzednim odcinku pisałem o konflikcie chłop-pan. Wyrwanie z korzeniami tej komunistycznej zakąły jest jednym z podstawowych warunków udrożnienia nam logicznych połączeń i przywrócenia zasad na polskiej mapie historycznej. Komunę musimy tak samo odrzucić, jak w II RP byłych zaborców, bo państwo buduje świadomość jego obywatelska. Bez zrozumienia tych potrzeb nie powstaną fundamenty nowej wspólnoty, nie zostanie odbudowana racjonalność naszej kultury i wzajemnego szacunku. Panów nie ma, ba, nawet chłopów już coraz mniej, ale nienawiść klasowa trzyma się po proletariacki, jak pijany płota, dając możliwość wykorzystywania tego konfliktu obcym i ingerencji z zewnątrz.

Ten komunistyczny bagaż, jaki wciąż nosimy w sobie i na sobie, trzeba nazwać, wytknąć palcem i walczyć z nim z determinacją. Bolszewizm odciął nas od rodzimej kultury, zabił dobro i wydobył z nas zło, małość i zawiść. Nie możemy budować i rozwijać się w negacji, nienawiści i pogardzie do samych siebie. W takim stanie ducha niczego sobie nie wyjaśnimy, żadna reforma nie może się udać, ani żadne porozumienie nastąpić. Musimy wrócić tam, gdzie przerwano nam ciąg kulturowy, gdzie zostawiliśmy swoje prawdziwe kody, prawdę i wzorce.

Rzecz w tym, że powojenna Polska nie miała swojego „RFN”. Przez ponad 40 lat wszyscy byliśmy odcięci od źródła, choć swoją macierz mieliśmy. Tę ojczyznę, przez cały okres trwania PRL, bardzo sprawnie niszczone w sposób strukturalny i na każdym poziomie. Przyzwyczailiśmy się do kłamstwa i przestaliśmy na nie reagować. Żyjemy z nim do dziś dnia. W takiej atmosferze wychowaliśmy się i w takiej rzeczywistości zaczęliśmy układać sobie życie. Gdy przyszła szansa powrotu, znaleźliśmy się jak na emigracji: ani tu, ani tam. Gdzieś ten kościół jest w którym dzwonią, ale niewiadomo czy dzwon który dzwoni jest prawdziwy, czy naprawdę suszymy jakieś bicie? Nie potrafimy odróżniać prawdy od kłamstwa.

Instynktownie czuliśmy, że to życie, w którym uczestniczymy, nie jest nasze, nie ma ono nic wspólnego z naszą kulturą i tradycją, uwiera nas, bulwersuje i wykańcza nerwowo. Ale co robić, skoro stało już się naszym, a kłamstwo zapaściło korzenie? Budowanie naszej przyszłości w oparciu o błagę, prowadzi do zupełnego wyobcowania i zaparcia się samych siebie. Okres Solidarności był wielki. Należy on do kilkuwiekowych tradycji naszego oporu, ale odnosił się do warunków PRL-owskich. Nie wyłonił z siebie ludzi wielkich, którzy mogliby zunifikować nasze dążenia niepodległościowe i wynieść idee na piedestał walki o wolność. Nie wyłonił ludzi na miarę Piłsudskiego, Dmowskiego czy Witosa lub Korfanteo. Był Jana Paweł II, ale zbyt daleko. Potem on sam, przez nas, został zakomercjalizowany niemal na śmierć, a cele, o które walczyło 10 milionów ludzi rozplynęły się w peerelowskim wychowaniu. „Solidarność i organizacje oporu z tamtego okresu, zagubiliśmy, jak szanowanego papieża. Obalony muru berliński, który zaskoczył samego Kohla, stał się większym symbolem, niż ruch „Solidarności”.

Pytanie, jak odzyskać swoje kody kulturowe i swoją kulturową równowagę, przestało mieć znaczenie. Przestało mieć też znaczenie poczucie tożsamości, poczucie państwa, własności i odpowiedzialności. Górę wzięła proletariacka bezideowość i jakaś przedziwna wiara, wręcz parobczańska, że ktoś za nas lepiej może ułożyć nam życie. Do naszej świadomości nie dociera podstawowa prawda, że takie będzie państwo, jacy jesteśmy my sami; że aby móc myśleć o sobie w sposób normalny i odpowiedzialny, musimy pozbyć się całego nawisu komunistycznego i wrócić tam, gdzie nasze miejsce. Jeżeli nadal byłoby nasze miejsce, stracimy wszystko. Musimy odwrócić tę zgubną zasadę, bo to świadomość układa nam zasady naszego życia, a nie odwrotnie. Ucieczka w nieznane jest rejteradą z własnego gniazda i własnego domu, który jest naszym początkiem i naszym końcem. Tak naprawdę uciec od siebie można tylko poprzez dewiację.

I teraz coś, co nie mieści nam się w głowie, bo ma mocne peerelowskie korzenie... Musimy wrócić do etosu polskiej inteligencji. To największy skrót na drodze do normalności. Na Boga, ale nie po to, aby wrócić do pańszczyzny, do bicia chłopów, biedy, sanacji, czy „pańskiej Polski”, nie do tego aby jeden był panem, a drugi chłopem po wsze czasy, bo taka jest bolszewicka argumentacja, lecz po to, aby móc poznać przeszłość i zracjonalizować przyszłość; by ułożyć odpowiedzialną społeczną hierarchię stanowisk i władzy, ustalić odpowiednią siatkę płac i poczuć odpowiedzialność za swoje państwo, za mienie i kulturę, za swoją rodzinę, naród i przyszłość.

Swoje państwo musimy budować nie według zawiści, partyjniactwa, małości, bylejakości czy wrogości do samych siebie, lecz w oparciu o poczucie wspólnoty. Tak, jak przed odzyskaniem niepodległości.

Każdy z nas miał w rodzinie jakiegoś inteligenta: wujka, dziadka, babcię, ciotkę, są więc wzory i wszyscy możemy być inteligentami. Kultura polska jest wspólna. Inteligencja budowała wspólną przyszłość (patrz chociażby Polskie Państwo Podziemne), wspólny los, nie na wzór obcy, lecz własny. Wystarczy to zrozumieć, odpowiednio się zachowywać, odpowiednio odnosić do siebie, czuć potrzebę posiadania dobrego wykształcenia i zdecydować się na właściwą postawę wobec państwa, narodu i własnej kultury. Kto tych podstawowych rzeczy nie potrafi, powinien się ich nauczyć, a jeżeli nie będzie stawiał opór, to społeczeństwo musi zastosować wychowawczy przymus. Takie są reguły na całym świecie i w każdych kulturach.

Zdecydowana większość z nas musi swoje postępowanie, swoją identyfikację podnieść na wyższy poziom, a swój punkt odniesienia przenieść z wirtualnego na rzeczywisty. Nie po to, aby wrócić do „pańskiej Polski”, lecz po

Dokończenie na stronie 7

Cchiwość rodzi beczelność, ale i umniejsza czujność, dlatego nierzadko chciwy kończył w nędzy, a arogant w upodleniu. Już historyk rzymski znany z lapidarności swych wypowiedzi zauważył, że *chciwość i beczelność to główne wady możnych*, bo tak trzeba przetłumaczyć słowa łacińskie w tytule tego eseju. Nie jest tak bardzo trudno przeprowadzić analizę powyższego stwierdzenia, dowodząc jego sprawdzalności w każdym bez wyjątku przypadku ludzkich ułomności. Weźmy choćby pod uwagę to, co dzieje się na naszych oczach, czego świadkami jesteśmy na przestrzeni naszych doświadczeń życiowych. Nie musimy tu wymieniać żadnych nazwisk. Przykładów dostarczają nam media, nawet jeśli niektóre z nich starają się zasłonić aż nadto widoczne perypetie swych pupilów. Takie sytuacje, jak byłego marszałka Sejmu pana Kuchcińskiego, który obwiniony o pewne, raczej w wymiarze formalnym niż materialnym, popełnione nadużycie – samolot rządowy i tak by polecał, niezależnie od tego czy znajdował się w nim ktoś do tego nieuprawniony – natychmiast zrezygnował ze stanowiska, na ogół się nie zdarzają. Kłopoty z prawem ma pewna ilość tzw. polityków, ale nie tylko nie skłania ich to do rezygnacji z zajmowanych stanowisk, co kiedyś było kwestią honoru. Przeciwnie zdaje się im, że właśnie te stanowiska uprawniają ich do czegoś znacznie więcej niż do podróżowania samolotem bez biletu. I tu właśnie pokazuje się, że Tacyt miał jednak rację. Bo do beczelności, arogancji czuje się uprawniony niejeden właśnie, którego w taki czy inny sposób uczyniono „możnym” lub który sam siebie takowym uczynił. Oczywiście dotyczy to tylko małych ludzi, ale obecność takich w polityce

to istny dopust Boży. Bóg nas tym doświadcza, może się niektórym wydawać, ponad miarę. Ale przecież miarę to my sami wyznaczamy. Nam mąci umysł to, czym ktoś jeździ, jaguarem czy czymś o trzy czwarte tańszym, my oceniamy po rezydencji, w której ten czy ów pomieszkuję, o koncie bankowym nie wspominając. To jest nasza miara. Jeśli zastanawiamy się, za co ten ktoś tego jaguara kupił to nie tyle z troski o jego uczciwość, ale z zazdrości, że taki potrafił sobie coś takiego w garażu postawić, a ja nie.

Zatem avaritia – pazerność rodzi arrogantiam – beczelność, a obie razem rodzą vitium – występki. I to wszystko, jak każdą ludzką słabość można zrozumieć, choć niekoniecznie akceptować. Oczywiście o ile zamyka się w prywatności. Kiedy rozgrywa się na scenie życia publicznego i zlekceważona jest wrażliwość ogółu, a na jego straży stoi autorytet państwa, to źle się dzieje. Prawo i sprawiedliwość – słowo, jak żadne inne dziś zdewaluowane – to już w tym przypadku nie nazwa ugrupowania politycznego, ale fundament życia społecznego i indywidualnego. Naruszenie jego nie usprawiedliwia nawet największe *lucrum* – zysk, jaki przynieść może avaritia – chciwość. Bo jest i inne porzekadło łacińskie – *bonum commune suprema lex* – *dobro wspólne największym prawem*.

Obrona tego jest zadaniem państwa, a w pierwszym rzędzie w stosunku do tych, którzy mając jego mandat, nie jego kierują się interesem, ale innych zgola szukają korzyści. To właśnie nazywa się arogancją i jest wprost przeciwwskazaniem, gdy chodzi o kwalifikacje do służby publicznej.

Zygmunt Zieliński

Wyciąganie ze studni: Problem Nr 2 (dokończenie)

to, aby nie pozostać na poziomie bolszewickim, nie wrócić do PGR-ów i nie pozostać dojna krową dla innych. Mamy bowiem takie same prawo do godnego życia, jak Anglicy, Amerykanie, czy Niemcy, lecz to godne życie wymaga wysiłku, głównie intelektualnego, musi uwzględnić nasze odmienne uwarunkowania polityczne, kulturowe i musi mieć sens. Powrót do swoich źródeł, a więc do II RP, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło; do swoich wzorców kulturowych, których wykładnikiem jest wypracowany przez wieki zbrojnych zmagani, polskie etos inteligencji, jako wzorzec zachowań, gwarantuje nam trwanie, zachowanie podmiotowości i względny spokój wewnętrzny oraz odporność na kolejną zaborczość. Musimy pokonać w sobie nawyki z minionej epoki i nie możemy bać się komunistycznych straszaków.

Nie może być też tak, że w sferze poczucia tożsamości i indywidualnej podmiotowości nie mamy nic do uporządkowania lub z niewiadomych przyczyn państwo tego nie czyni. Praktyka wpuszczania silnych kulturowo emigrantów na teren słabego państwa, jest pomysłem straceńczym. Naród ma swoje prawa, a więc w pierwszej kolejności musi dbać o jego bezpieczeństwo i odpowiednie wychowanie. Na ten cel ma odpowiednie środki. I ostatni argument: taki model sprawdził się w II RP.

To państwo, póki jeszcze jest, ma obowiązek wyciągnąć swoich obywateli ze studni, w którą wrzuciło nas ostatnie 80 lat braku suwerenności i uczynić zdolnych do obrony własnych interesów.

Ryszard Surmacz

Trzeba chyba zacząć od czegoś rozweselającego, bo czas jest paskudny. Dbają o to różnego rodzaju insekty, który zainfekowały nasze życie, oczywiście to publiczne. Ale najpierw dajmy spokój insektom. Są kąśliwe, ale nie niebezpieczne. Otóż przeczytałem na Niezależna.pl, że „dyrektor Opery na Zamku w Szczecinie, Jacek Jekiel, zamieścił na Twitterze bulwersujący filmik, w którym zestawił przywódcę włoskich faszystów, Benito Mussoliniego z prezydentem RP Andrzejem Dudą. „#Duda #Mussolini #Historia zawsze się powtarza jako farsa”. A co powiedziałby on na to, że niektórzy ludzie są podobni do małpy, co mógłby zweryfikować łatwo spoglądając w zwierciadło ? Niektóre wypowiedzi nie zasługują na żaden komentarz, a to tylko parabola, której zastosowanie należy do zainteresowanego.

Takie farsy w wykonaniu owego dyrektora, to nic wielkiego. Coś innego niepokoi. „*Jaką przyszłość po reformie sądownictwa wróży Polsce Małgorzata Gersdorf ? Skutki nowelizacji ustaw sądowych i sprzeczność między prawem polskim a unijnym prowadzić będzie do konieczności opuszczenia Unii Europejskiej*” - powiedziała dziś I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf podczas debaty nad tą ustawą w komisji senackiej.

(Niezależna. pl. 8 I 2020)

„*Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich ? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz.*” To powiedział Tusk z miną co najmniej kreisleitera, który stosownie do zarządzenia gauleitera Gdańska Alberta Forstera kiedyś zapowiedział Polakom, że skoro żyjąc na prastarej niemieckiej ziemi – Reichgau Danzig- Westpreußen – nie poczuwają się do niemczyzny, będą przymusowo wysiedleni, mając 15 minut na spakowanie swego mienia. Prawo pozostania mają tylko spolonizowani Niemcy, czyli eingedeutschte. Ani pani Gersdorf ani

pan Tusk tak bezwzględni nie są, choć podobnie jak ów kreisleiter zapowiadają wysiedlenie, tym razem całej Polski z Unii Europejskiej. Oni i im podobni pozostaną w Unii prawdopodobnie na zasadzie zasłużonych dla... chyba jednak, tym razem, nie Rzeszy, a Unii.

Jak na to wszystko patrzeć ? Ja, będąc dzieckiem szkolnym w czasie okupacji właśnie na terenie owego Reichsgau-Danzig-Westpreußen dobrze zapamiętałem, jak wielu, zdawać by się mogło Polaków, robiło się eingedeutscht (III grupa), by nie zostać wysiedlonymi. Widziałem też, jak w 1945 roku chodzili oni do Starostwa na tzw. rehabilitację, by odzyskać polskie obywatelstwo. Pamiętam też jak w wiejskim sklepie przychodzili kupować Marmelade (nur für Deutsche) i z pogardą spoglądali na Polaków przychodzących z miską po sfermentowany Brotaufstrich (smarowidło na chleb dla Polaków). I jeszcze pamiętam, jak ich dzieci po 1945 roku zamieniły mundurek HJ na koszulę i krawaty ZMP. Nie wiem z jakich Jekłów jest ów dyrektor, jeśli z tych, których znałem, to bliżej im było do Hitlera niż do Mussoliniego. Ale on chyba z innych.

To wszystko co piszę, to jest rzeczywistość. Mało kto ją już pamięta, ale patrząc dziś na kondukt naszych posłów w PE i wielu polityków totalnej, obojętnie z jakiego ugrupowania, tę pamięć się odzyskuje.

Jako ktoś całe życie związany z uniwersytetem zgorszony jestem postępkami Uniwersytetu Śląskiego, gdyż jak czytamy: „*Dla wykładowcy socjologii Rzecznik Dyscyplinarny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zażądał kary nagany po tym, jak grupa studentów zarzuciła prof. Ewie Budzyńskiej, że na swoich wykładach rzekomo promuje „homofobię”, „ideologię anti-choice” oraz „poglądy radykalno-katolickie*”.

Nie przypominam sobie, by studenci w czasie PRL donieśli na wykładowcę, że prezentuje obce im poglądy, bo student jest, a przynajmniej powinien być na tyle dojrzały, żeby na tle wykładu formować

własne poglądy. Oczywiście donosiciele także wówczas nie brakowało, ale robili to po cichu. Teraz się tym szczycą. Dlatego, zarówno owi studenci-donosiciele jak rzecznik dyscyplinarny posługują się gorszymi narzędziami dyskryminacyjnymi niż ongiś „jedyna siła przewodnia”. W końcu można to przełknąć, gdyż zawsze bywali na uczelniach homines et homunculi (mam nadzieję, że denuncjanci potrafią coś więcej niż kapować i to rozumieją). Ale Uniwersytet operujący cenzurą, a przecież Śląski to nie wyjątek, bo były i inne podobne przypadki, Szczecin, Toruń – to jest dno. Pamiętam, że w czasie rządów komunistycznych usunięto chwilowo sporo profesorów, ale nie dyscyplinarnie, lecz z powodu różnic ideologicznych. Tak musiał opuścić katedrę prof. Konopczyński. Obecny Homoporzadek nie ma tak zniuansowanych racji.

Przypadki tu przytoczone smucą i niepokoją, dodając jeszcze jedną kroplę goryczy do owej fatalnej „Konstytucji dla nauki”. Ale skąd biorą się u nas takie zdarzenia i ludzie będący ich autorami ? Popatrzmy na sondaż poparcia z 17 I 2020 r. PiS - 44 %, KO – 23 %, Lewica – 10 %, PSL-Kukiz – 7 %, Konfederacja – 5 % . W wyborach deklaruje w tym czasie udział 78 %.

Okazuje się, że opozycja wszelkich maści ma 45 % poparcia, zatem o jeden punkt więcej niż ugrupowanie rządzące. W PE, jak i sejmie i senacie cała opozycja zgodnie usiłuje torpedować poczynania rządu.

Tusk, głównie dla zagranicy, tej lewacko-libertyńskiej, której opcje przyjęły też, jak widać, niektóre polskie uczelnie, oświadczył, że rządzący „*niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim*”. Nawet Wolna Europa nie oceniała tak rządów komunistycznych, jak pluje na obecne „totalną”. I to mówi Tusk, pod którego rządami złodzieje rozkradali państwo, który nic nie zrobił, by zropiały wymiar sprawiedliwości choćby tylko podleczyć, bo potrzebował właśnie sędziów dyspozycyjnych, a gdzie było ich

Uśmiechnij się...

Strona 9

Jedzie facet nowiutkim BMW 80 km/h.

Na zakręcie wyprzedza go rowerzysta.

- OK - myśli sobie facet i przyśpiesza, ale rowerzysta uparcie trzyma się lewego pasa, więc facet przy szybkości 100/h wyprzedza go z prawej strony. Następny zakręt i... Znowu rowerzysta go wyprzedza.

- Noż, k...! - zaklął i znów dodał gazu.

Sytuacja się powtarza kilka razy. W końcu facet pędząc 160/h wyprzedza rowerzystę, zatrzymuje się i wysiada z samochodu.

Rowerzysta zatrzymał się tuż za samochodem. Ciężko dyszy, ociera pot z czoła, ale po chwili udaje mu się wydukać:

- Dobrze żeś się pan zatrzymał, bo mi się szelki o lusterko zahaczyły.

Kowalski podróżuje z teściową i żoną po krajach Bliskiego Wschodu. W jednym z państw, nie znając lokalnych obyczajów, nie zdjął nakrycia głowy przed portretem króla i cała rodzina została schwytana przez policję. Przewidzianą przez prawo karą za ten czyn było 50 batów, ale jako że Kowalscy byli gośćmi potraktowano ich ulgowo i przed wykonaniem wyroku zezwolono na wypowiedzenie jednego życzenia. Pierwsza była żona Kowalskiego, która poprosiła o przywiązanie do tyłka poduszki. Tak też zrobiono, ale że poduszka była mała, Kowalska dostała kilka batów w plecy. Teściowa była sprytniejsza i poprosiła o przywiązanie poduszki do tyłka i pleców. Jej życzenie spełniono i wyszła z opresji cała. Następny był Kowalski.

- Czy mogę mieć dwa życzenia ? - zapytał.

Sąd po krótkiej naradzie odpowiedział, że tak.

- Zrozumiałem, że obraziłem waszą królową i zasługuję na karę. By w pełni odkupić moją winę proszę o 100 batów !

Szmer uznania przebiegł po sali.

- A drugie życzenie ? - zapytał sędzia.

- Proszę o przywiązanie mi do pleców teściowej.

Facet pyta się swojego kolegę o dobrego stomatologa. Tamten mu odpowiada:

- Znam świetnego, ale on jest Anglikiem.

- Spoko, spoko, poradzę sobie.

Przychodzi więc na wizytę do tego dentysty, siada na fotelu i pokazując lekarzowi ząb mówi:

- Tu !

Dentysta wyrwał mu dwa zęby. Na drugi dzień znów spotykają się obaj faceci i pierwszy mówi:

- Kurcze, jakiś głupi ten dentysta. Ja mu pokazuję bolący ząb, mówię tu, a on wyrwa mi dwa zęby.

- Aleś ty głupi "Two" po angielsku znaczy dwa.

- Aaa, trzeba było tak od razu mówić.

Następnym razem coś wymyślę.

Przychodzi więc na kolejną wizytę do dentysty, siada na fotelu, wskazuje ząb i mówi:

- Ten !

Kiedy byłem młodszy nienawidziłem chodzić na śluby. Wydawało mi się, że wszystkie ciotki i podstarzałe krewne przychodzą do mnie, trącając mnie w żebra, mówiąc: „Teraz twoja kolej”. Przestały, kiedy zacząłem robić im to samo na pogrzebach...

- Czym się różni mąż od narzeczonego?

- Zamiast kwiatów kupuje warzywa.

Jasiu przychodzi do szkoły z

obrzęknętym, czerwonym nosem.

Nauczycielka go pyta, co się stało. On

odpowiada:

- Miałem katar i ciągle siąpiłem nosem.

Ojciec się wkurzył, wziął odkurzacz i cały ten katar ze mnie wyciągnął.

- Oryginalna metoda leczenia...

- No, a opowiadałem jak tydzień temu mój braciszek miał zatwardzenie ?

Żona Wieska pojechała w delegację.

Wiesiek śle sms-a:

- Gdzie są sztucce ?

Nadchodzi odpowiedź:

- Nocuj w domu.

Wiesiek nic nie rozumiał. Następnego dnia znowu pisze:

- Gdzie są sztucce ?!

Znowu odpowiedź:

- Nocuj w domu.

Znowu nic nie skapował. W końcu żona wraca, Wiesiek rozjuszony drze się od progu:

- Gdzie są sztucce ??

- Pod prześcieradłem.

Kobieta w ramach równouprawnienia może robić co zechce ! ...byle było smaczne.

Jak tam po wczorajszej imprezie ?

- A spoko, spoko. Poznałem nowy przypadek.

- Jaki ?

- Wymiotnik. Odpowiada na pytania: po czym ?, po ilu ?

W restauracji:

- Poproszę pieczeń z zająca. Tylko żeby mi w niej śrutu nie było !

- Ma pan szczęście, dzisiaj przywieźli jednego, który podciął sobie żyły...

Hasło reklamowe zakładu pogrzebowego w Sosnowcu:

- Z każdym dniem jesteśmy coraz bliżej ciebie !

Naukowcom udało się skrzyżować złotą rybkę z rekinem - spełnia trzy ostatnie życzenia.

Misjonarz Świadków Jehowy puka do drzwi. Otwiera mu facet i mówi:

- Słucham ?

- Czy wie pan, co zrobić, aby trafić do królestwa niebieskiego ? - pyta rutynowo Świadek.

- Nie, ale zapraszam do środka.

Świadek wchodzi, zatrzymuje się w przedpokoju i... nic.

- Co chciał mi pan powiedzieć ? - indaguje gospodarz.

- Eee... aaa... no, tego... - stęka Świadek.

- Co jest ? Co się stało, że pan zaniemówił ?

- Jeszcze nigdy tak daleko nie wchodziłem...

Biografia to rzecz sama w sobie niemoralna. Stanowi instrument, za pomocą którego obdziera się sławnych nieobecnych z resztek ich tajemnic i wystawia je na publiczny widok, ku ucieście gawiedzi. Biograf zachowuje się przy pracy jak zawodowy włamywacz. Wdziera się do prywatnych pomieszczeń, otwiera cudze szafy i przewraca do góry nogami zawartość szuflad w poszukiwaniu kosztowności lub gotówki. Jeśli znajdzie jakiś klejnot, szybko wrzuca go do swego czarnego złodziejskiego worka i cichcem umyka ze zdobyczą. Tyle, że w przypadku biografii klejnotami są cudze listy zawierające intymne wyznania, a gotówką plotki i najzwyklejsze insynuacje. Tak właśnie jest i w poniższej opowieści o Christine Keeler. Piękna dziewczyna, lekarz erotoman, lysiejący brytyjski minister i przystojny rosyjski szpieg. Nawet w swingującym Londynie lat sześćdziesiątych taka mikstura po prostu musiała eksplodować.

*

Biografie to przykład wyjątkowej hipokryzji. Wścibstwo cechujące zarówno biografów, jak i ich czytelników, jest zwykle ukrywane, a na plan pierwszy wysuwa się praca naukowa, obiektywność i skrupulatne podejście do tematu. Przecież ostatecznie, żeby napisać czyjąś biografię, trzeba spędzić się długie, żmudne godziny w dusznych salach bibliotek, wdychać dławiący kurz archiwów, cierpliwie przeprowadzać wywiady ze świadkami, inwestować w zagraniczną literaturę...

Naprawdę jednak wcale nie chodzi tu o historyczne fakty. Warunkiem powodzenia literatury biograficznej jest sprzedanie jak największej ilości prywatnych tajemnic, podanie do publicznej wiadomości tych szczegółów życia opisywanej osoby, które chciałaby ona za wszelką cenę ukryć. Jeżeli biografie od zawsze cieszyły się wielką popularnością, to tylko dlatego, że pomiędzy autorem a czytelnikami istniał zwykle rodzaj spisku zawartego w celu



CHRISTINE KEELER

(ur. 1942)

dostarczenia im ekscytującego przeżycia.

Wkroczmy więc i my na zakazane korytarze, otworzymy jeszcze raz drzwi z napisem „obcym wstęp wzbroniony”, podkradnijmy się wspólnie pod drzwi sypialni i zajrzyjmy przez dziurkę od klucza...

Tak to już, niestety, jest na tym świecie, że do historii przeszło o wiele więcej nierządnic niż świętych. Rudawa blondynka, Christine Keeler nie uważała się bynajmniej za dziwkę. „Jeżeli nawet zdarzało się, że brałam pieniądze za pójście z kimś do łóżka, to tylko wówczas, gdy znajdowałam się w podbramkowych sytuacjach. Gdy nie miałam co jeść i gdzie mieszkać – napisała w swoich wspomnieniach zatytułowanych „*The Truth at Last – My Story*”.

Żadnym ocenom nie podlega jednak już na pewno fakt, że do łóżka chodziła Christine z osobami nie najbardziej właściwymi. W politycznej historii Wielkiej Brytanii zapisała się jako wyjątkowo przebiegła i bezwzględna femme fatale. Doprowadziła do jednej dymisji sekretarza stanu, do jednego

samobójstwa i do upadku jednego rządu. Rezultat iście imponujący.

Urodziła się 22 lutego w roku 1942 w miejscowości Uxbridge w hrabstwie Middlesex, 15 mil od Londynu. Jej rodzice byli Niemcami. Młodość Christine upłynęła w wozie mieszkalnym, który zbudował z desek jej ojczym, nie będąc w stanie płacić wysokiego czynszu za normalne mieszkanie. Zaledwie skończyła podstawówkę, musiała zacząć zarabiać na życie, pracując jako kelnerka w spelunkach londyńskiego Soho. Ta centralna część dzielnicy West End, zamykająca się między Oxford Street od północy, Charing Cross od wschodu, Shaftesbury Avenue od południa i Regent Street od zachodu, już od ponad 200 lat uchodziła za synonim rozpusty.

Oprócz kurewek i podejrzanych ptaszków pełno było tu dziwadł wszelkiego rodzaju, ludzi marginesu, żyjących nie wiadomo z czego, próżniaków, niewydarzonych poetów, anarchistów, iluzjonistów, połykaczy ognia, ulicznych grajków, oraz panienek równie skorych sprzedać się, co pozować do posągu Madonny. Wielu mężczyzn i większość kobiet w Soho stanowiły zapewne, z punktu widzenia moralności, istoty upadłe, ale właśnie dlatego osobowość ludzka objawiała się w tym miejscu śmieiej i szerszej niż gdzie indziej – z większą swobodą, z większym bezwstydem, bardziej prawdziwie.

Razem z przyjaciółką Christine wynajmowała tu obskurny pokój i często przymierała głodem. Była jednak ambitna. Bardzo ambitna. Szybko zauważyła, że mężczyźni nie umieją oderwać od niej wzroku. Ten atut, postanowiła bezwzględnie wykorzystać. Była rzeczywiście piękna, prostolinijna, często wybuchała beztroskim śmiechem. Kochała życie i mężczyzn, a oni odwiedzali się jej tym samym. Na razie była jedną z wielu pięknych dziewczyn, które mógł mieć każdy, kto był gotów zapłacić za jej towarzystwo całe dwa funty.

Miała 16 lat, gdy po raz pierwszy zaszła w

Ciąg dalszy na stronie 11

ciążę, z czarnym sierżantem lotnictwa o imieniu Jim. Próbowala ją usunąć szydełkiem, ale nie wyszło. 17 kwietnia 1959 roku pojawił się na świecie mały chłopczyk, który zmarł jednak po sześciu dniach.

Rok później podjęła pracę jako dance girl, a w rzeczywistości dziewczyna do towarzystwa w jednym z najpopularniejszych londyńskich klubów, słynnym „Murray’s Cabaret Club” na Beak Street. Ubrana w lekki kostium ze świecidełek, wykonywała na małej scenie rytmiczny taniec. Potem była do dyspozycji gości, którzy zaprosili ją do stołu.

Wprowadzona właśnie na rynek pigułka antykoncepcyjna otworzyła wszystkim chętnym drogę do niczym nieskrępowanych erotycznych szaleństw. Christine pragnęła otoczyć się zbytkiem, podróżować, mieć klejnoty i najdroższe perfumy, uczestniczyć w wytwornych przyjęciach. Czekala tylko na odpowiednią okazję.

I taka okazja wkrótce się nadarzyła. Stephen Ward miał 48 lat, był żonaty (potem się rozwiódł), był malarzem i lekarzem, człowiekiem o wykwintnych manierach, zaprzyjaźnionym z całą śmietanką towarzyską ówczesnego Londynu. Malował portrety dla członków rodziny królewskiej: księcia Filipa Mountbattena, księżniczki Małgorzaty Windsor, oraz dla Sophii Loren i Elizabeth Taylor. Posiadał gabinet przy Cavendish Square, w pobliżu słynnej Harley Street w Londynie, w którym leczył Winstona Churchilla i Paula Getty’ego – najbogatszego człowieka świata oraz innych przedstawicieli arystokracji i finansjery. Jego magnetyczny urok ściągał tam wielu ówczesnych celebrytów, posłów do parlamentu, ministrów i sędziów. Ward lubił sławę i pieniądze, lecz przede wszystkim piękne kobiety. Sympatyzował również z radzieckimi komunistami, od czasu do czasu szpiegując na ich korzyść...

W wolnych chwilach zajmował się dostarczaniem pięknych dziewcząt na zamknięte parties arystokratom,

dyplomatom, ministrom i aktorom filmowym. W pospiesznym rytmie wyuzdanych przyjęć, na których wypijano morze alkoholu, zawierano tam znajomości z paniami, które nigdy nie mówiły „nie” i których uwiedzenie nie wymagało siły perswazji Don Juana czy Casanovy. Wprawdzie po whisky pozostawał czasami ból głowy, a po damie niekiedy choroba weneryczna z perspektywą bolesnej i nie zawsze skutecznej kuracji, to jednak w niczym nie zmieniał sympatii uczestników tego rodzaju imprez ani do Bachusa, ani do Wenerę.

Rozwiązły, zdeprawowany i piekielnie inteligentny Stephen, stał się dla młodzieńkiej gąski, jaką była Christine, nauczycielem i mentorem. „Podążaj za swoimi instynktami i pragnieniami” – uczył ją. Od tej pory to miała być jej mantra. Podążała więc, intensywnie dogadzając wszystkim swoim zachciankom. Seks stał się jedną z najbardziej wciągających gier.

Z czasem Ward zapewnił jej wysoko postawionych klientów. Rudowłosa piękność umilała czas znanymi osobistościom, takim jak Douglas Fairbanks jr., Alec Guinness czy Marlon Brando. Co najdziwniejsze, nie została kochanką Stephena, chociaż przemieszkowała przez wiele miesięcy w jego mieszkanku przy 17 Wimpole Mews. Spał u jej boku w jednym łóżku, ale nigdy jej nie dotknął. – „Byliśmy jak brat i siostra” – wspominała potem Keeler w autobiografii. Uczył ją za to zachowania w wielkim świecie, szlifował jej koszmarny cockney tak długo, aż pozbyła się okropnego akcentu, wyuczył ją – niczym reżyser teatralny – roli eleganckiej damy.

Cockney (właściwie: cockney rhyming slang) – powstały w XIX wieku młodzieżowy dialekt Londynu (zwłaszcza części wschodniej), zbliżony do grypsery. Nazwa pochodzi od średniowiecznego słowa angielskiego cocknay, co dosłownie znaczyło: kogucie jajko, czyli zdeformowane jajko, jakie znoszą czasami młode kury. W przenośnym znaczeniu określało tak głupca, zniewieściałego

mężczyznę lub cherlawego mieszczaucha – przeciwieństwo krzepkiego wieśniaka. W XVII wieku cockneyami zaczęto nazywać londyńczyków; było to słowo o silnym zabarwieniu pejoratywnym. W XVIII wieku wyraz zaczął się odnosić tylko do mieszkającej w stolicy klasy pracującej. Jednym z podstawowych kryteriów przynależności do cockneyów było miejsce urodzenia – w zasięgu dźwięku dzwonów kościoła St Mary-le-Bow na Cheapside w City. W początkach XX wieku cockneyami nazywano już wyłącznie londyńskich robotników, chociaż wielu ludziom słowo to kojarzyło się z Londynem z powieści Dickensa.

Chociaż krajem od dziesięciu lat rządili konserwatyści, stara Anglia ustępowała powoli pod naporem epoki wolnej miłości. Rozpoczęło się szaleństwo ery „The Beatles”. Stephen i Christine wielokrotnie brali razem udział w rozmaitych sex-party, na których gościły między innymi takie sławy jak słynny aktor i reżyser Peter Ustinov czy oficer brytyjskiego wywiadu MI6 Harold (Kim) Philby, nie mniej słynny sowiecki szpieg – co wyszło jednak na jaw nieco później.

W latach trzydziestych XX wieku KGB zwerbowało w Wielkiej Brytanii grupę agentów spośród prokomunistycznie nastawionych studentów uniwersytetu Cambridge. Pięciu z nich prowadził oficer NKWD (później KGB) Jurij Modin. W 1951 roku dwójka z tych agentów, wówczas pracowników Foreign Office (brytyjskiego MSZ), Donald MacLean i Guy Burges, uciekła do Związku Radzieckiego. W rezultacie tej ucieczki ich przyjaciel, Kim Philby, wysoki rangą pułkownik MI6, został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Zajął się wówczas pracą dziennikarską, którą kontynuował również do czasu... swej ucieczki do Związku Radzieckiego w 1963 roku. Philby, niegdyś uważany za przyszłego szefa MI6, przekazał KGB wiele najbardziej strzeżonych sekretów brytyjskiego wywiadu. Czwartą postacią w tej siatce był Sir Anthony Blunt, oficer MI5 od 1940 do 1945 roku. Później działał

jako szpieg, będąc jednocześnie kustoszem Królewskiej Galerii Obrazów. MI5 wiedział o jego zdradzie jeszcze przed oficjalnym ujawnieniem w 1979 roku. Ostatnim z piątki agentów, których nazwiska podano do publicznej wiadomości, był John Cairncross. W swojej karierze zawodowej zajmował stanowiska w MI6, Agencji Rozpoznania Środkami Łączności – zwanej GC lub CS (później GCHQ), a także w różnych ministerstwach.

Jedną z takich „gorących” kolacji zorganizowała w swoim apartamencie w Bayswater czeska emigrantka Maria Novotny – wydalona ze Stanów Zjednoczonych luksusowa prostytutka, z której usług korzystał między innymi sam prezydent John Fitzgerald Kennedy. (Maria przebierała się dla niego za pielęgniarkę). W 2010 roku jeden z byłych agentów FBI ujawnił, co działo się na przyjęciu:

„Brało w nim udział około dwudziestu gości, w tym dr Ward. Wszyscy byli ubrani w stroje wieczorowe. Kiedy miała być podana kolacja, pojawił się kelner całkowicie rozebrany, poza czarnym kapturem na głowie z wąskimi otworami na oczy (...) Kolacja zmieniła się w końcu w perwersyjną orgię seksualną z udziałem wszystkich gości. Kelner był wysokiej rangi ministrem, członkiem gabinetu. Jego tożsamość jest obecnie nieznana”.

Wprawdzie oficjalny raport brytyjski z 1963 roku zaprzeczał stanowczo, by kelner był ministrem, po Londynie krążyły jednak plotki, że owym nagusem na przyjęciu u Marii Novotny był nie kto inny, jak mąż monarchini, sam książę Filip Mountbatten. Tożsamość kelnera do dziś jest tajemnicą (choć w archiwach MI6 spoczywa ponoć kompromitujące zdjęcie z party).

MI6 – Military Intelligence Section 6 (Wywiad Wojskowy Sekcja 6) – tajna brytyjska służba wywiadowcza powołana do życia 1 października 1909 w roku, początkowo jako Secret Service Bureau – Biuro Tajnej Służby. SSB podzielone

zostało na dwie sekcje: Sekcję Wewnętrzną, z której wywodzi się późniejszy MI5, oraz Sekcję Zagraniczną, działającą początkowo pod kryptonimem MI1(c), przemianowaną następnie w roku 1921 na MI6, Secret Intelligence Service (SIS).

Latem 1961 roku doszło do zdarzenia, dzięki któremu nazwiska Keeler i Ward przeszły do historii. Stephen, będący dla Christine kimś w rodzaju stręczyciela, podsunął ją niejakiemu Johnowi D. Profumo, mężczyźnie żonatemu, ojcu kilkorga dzieci, a poza tym sekretarzowi stanu do spraw wojny w konserwatywnym rządzie Harolda MacMillana.

Urodzony 30 stycznia 1915 roku John Denis Profumo był dla Warda cenną zdobyczą, posiadał bowiem wiele informacji interesujących KGB. Ognisty romans luksusowej prostytutki z ministrem miał mu zapewnić stały dostęp do tych informacji.

W swoich pamiętnikach Keeler napisała po latach o Profumo w sposób następujący: „Wariował za mną jak żaden z innych mężczyzn, których poznanie umożliwił mi w tych wszystkich latach Ward. Poznaliśmy się w sposób bardzo niekonwencjonalny pewnej gorącej lipcowej nocy w roku 1961. Lord Astor urządził tego wieczoru jedną ze swych zwykłych kinky parties. My, dziewczyny, albo biegałyśmy po ogrodzie zupełnie nago, czy co najwyżej okryte ręcznikiem jako opaską na biodrach, albo kąpałyśmy się w basenie, którego zbudowanie kosztowało lorda podobno 300 000 funtów (...) Leżałam bez odzieży w basenie na nadmuchiwanym materacu i obserwowałam, kto przybywa na party. Między gośćmi było tylko niewielu panów, których nie znałam jeszcze osobiście. Jednym z nich był John Profumo – minister wojny, jak się później dowiedziałam od Stephena”.

Profumo bał się o swoją karierę, zapewne czasami myślał też o żonie (znanej aktorce Valerie Hobson) i dzieciach, ale

Christine była tak pociągająca... Powiedział jej, że chce ją mieć tylko dla siebie. Stać go było na taki kaprys. Tyle tylko, że ona nie chciała należeć do jednego mężczyzny. Od dawna należała przecież do wielu. To było jej życie, jej świat.

Wszystko zapewne skończyłoby się szczęśliwie, gdyby Ward nie pchnął w tym czasie Christine w ramiona attaché radzieckiej ambasady Jewgienija Iwanowa, nieoficjalnie szpiega.

9 lipca, w piękny gorący dzień Profumo i Iwanow urządzili sobie zawody pływackie w basenie położonym obok murów malowniczej podlondyńskiej posiadłości z XVII wieku. Był to szczytowy okres zimnej wojny i taki brytyjsko - sowiecki wyścig miał specyficzny smaczek. Rywalom kibicowało około trzydziestu gości: dyplomaci, arystokraci (także z odległego o zaledwie osiem kilometrów zamku Windsor) oraz sędziowie angielskiego sądu najwyższego. Wszystkim towarzyszyły żony. Sędzią zawodów była Christine Keeler.

Jak dziennikarze połączyli ze sobą nazwiska Warda, Keeler, Profumo i Iwanowa, pozostaje ich słodką tajemnicą. W połowie marca 1962 roku sprawa nabrała takiego rozgłosu, że minister wojny został zmuszony do ogłoszenia w Izbie Gmin oficjalnego oświadczenia na temat stosunków łączących go z prostytutką.

– To pozbawione jakichkolwiek podstaw plotki – powiedział pan minister. – Pannę Keeler poznałem latem 1961 roku w obecności mojej żony i nie widzę w tym nic gorszącego. Chciałbym stwierdzić, że wystąpię z pozwem przeciw każdemu, kto będzie nadal rozpowszechniał te uwłaczające mojej godności plotki – zakończył.

Premier Harold Macmillan wyszedł tego dnia z sali Izby Gmin, kładąc mu na znak zaufania rękę na ramieniu. MI5 natomiast

dało ministrowi dyskretnie do zrozumienia, że jego erotyczne wyczyny z panią Keeler są bardzo ryzykowne, ale może je kontynuować, jeżeli pomoże w omotaniu Iwanowa. Profumo nie zgodził się podjąć współpracy z wywiadem i wkrótce zerwał z Christine, która zgodziła się przenieść do innej, dyskretnej garsoniery. Z jego punktu widzenia sprawa była już zakończona. Ale tylko z jego...

Jakiś czas później dziennikarze odszukali w Hiszpanii Christine, którą ukrył tam przed nimi Ward.

– Czy była pani kochanką ministra Profumo? – padło pytanie.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Poprosili więc o dalsze szczegóły, których chętnie udzieliła. „Daily Mirror” zamierzał je opublikować, ale ostatecznie się z tego wycofał. W końcu były to tylko słowa przeciwko słowom. Zrobiły to natomiast francuski „Paris Match” i włoskie „Tempo Illustrato”. Profumo natychmiast wytoczył im procesy o zniesławienie.

Tymczasem zajmujący się sprawą Scotland Yard wpadł na trop „przedsiębiorstwa” doktora Warda. 8 czerwca 1963 roku został on aresztowany pod zarzutem stręczycielstwa. Zebrane dowody były tak przekonujące, że poczuł się zgubiony. Postanowił natychmiast przejść do kontrataku.

– Pan Profumo winien jest krzywoprzysięstwa wobec Korony – oznajmił.

Swoje oświadczenie poparł taką ilością faktów, że skandaliczny związek ministra z prostytutką przestał budzić jakiejkolwiek wątpliwości. Jego kariera była już właściwie zrujnowana. Pod koniec czerwca Profumo wystosował list do premiera, składając jednocześnie dymisję: „Powiedziałem kiedyś, że w moich stosunkach z panną Keeler nie było nic niewłaściwego – napisał. – Obecnie muszę stwierdzić z najgłębszym żalem,

że nie powiedziałem panu prawdy. (...) Pragnąłbym, aby zechciał pan uwierzyć, że działałem w intencji uchronienia – w moim mniemaniu – żony i rodziny”.

Przy okazji „afery Profumo” toczyły się rozmaite gry i gierki kilku różnych wywiadów. Erotycznemu życiu w Londynie przyglądali się uważnie agenci FBI, obawiający się, że minister może zdradzić kochance sekrety nuklearne mocarstwa, a ta przekaże je agentom KGB. MI5 chciało szantażować Iwanowa zdjęciami oraz nagraniami seksualnych ekscesów i zmusić go w ten sposób do współpracy z Zachodem. Radziecki attaché zniknął jednak z Londynu, zanim afera rozkręciła się na dobre.

Równolegle do akcji włączyło się KGB, instalując podsłuch w sypialni małego mieszkanka Warda przy 17 Wimpole Mews w Londynie, gdzie Keeler spotykała się z Iwanowem i Profumo. Zapewne były tam też mikrofony brytyjskie, a być może i amerykańskie. Te stereofoniczne nagrania rozmów w łóżku należeć kiedyś będą – jeśli ocalały – do rarytasów historii wywiadów XX wieku.

Po dymisji ze stanowiska ministra, John D. Profumo podjął pracę w biurze porad prawnych w najbiedniejszej dzielnicy Londynu, East Endzie. Co rano jeździł metrem do biura i udzielał porad jako darmowy adwokat ludziom najbardziej tego potrzebującym. Razem z żoną pracował również w fundacji charytatywnej „Toynbee Hall” w Londynie, myjąc tam nawet podłogi i toalety. Od dnia swojej dymisji postarzał się co najmniej o pięć lat.

Jego żona, Valerie Hobson, również poświęciła się pomocy innym, zajmując się aż do swej śmierci - w roku 1998 - chorymi na trąd. W 1995 roku była premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher zaprosiła Profumo na uroczysty obiad, zorganizowany z okazji jej siedemdziesiątej rocznicy urodzin, sadzając obok królowej.

Czas zapomnieć już o sprawie Keeler –

powiedziała „Żelazna Dama”. – Życie pana Profumo było dobrym życiem.

Zmarł o północy, z 9 na 10 marca 2006 roku w London's Chelsea and Westminster Hospital, dożywszy lat 91.

Rząd Harolda MacMillana upadł niedługo po tym, gdy wyszły na jaw skrzętnie dotąd ukrywane szpiegowskie aspekty sprawy oraz fakt, że wszystkie szczegóły romansu swego ministra premier znał już dużo wcześniej. MacMillan twierdził jednak, że sprawa Profumo wydała mu się tak niewiarygodna, że nie zdecydował się zawiadomić o tym prokuratury. W październiku 1963 roku, powołując się na zły stan zdrowia, premier podał się do dymisji.

Stephen Ward szybko stracił pacjentów, wpływowych przyjaciół i dobrą reputację. Mimo tego, do końca nie synął żadnego ze swoich bogatych przyjaciół, choć w godzinie próby wszyscy odwrócili się do niego plecami. Zagrożony długoletnim więzieniem, wieczorem przed ostatnim dniem rozprawy, w sierpniu 1963 roku połknął końską dawkę nembutalu i – ku radości wielu – odszedł z tego świata. Do dziś mówi się, że Ward miał zamiar ujawnić tajemnice establishmentu i że to nikt inny, tylko to tajne służby pomogły mu umrzeć.

Na pogrzeb Warda ktoś przywiózł bukiet 600 białych róż z napisem na kokardzie: „Dla ofiary brytyjskiej hipokryzji”. Zgodnie z obowiązującymi w tej materii przepisami, tajne dokumenty MI5 dotyczące „afery Profumo” ujrzą światło dzienne dopiero w roku 2046. Być może wtedy się dowiemy, jak wielka była to hipokryzja.

A główna bohaterka tej historii? Wyrokiem sądu została skazana na dziewięć miesięcy pozbawienia wolności za krzywoprzysięstwo i spiskowanie. Karę odbyła w Holloway. Po wyjściu z więzienia oblegały ją tłumy dziennikarzy. Przy pomocy jednego z nich, Douglasa

Seks, kłamstwa i samobójstwo (dokończenie)

Thompsona, napisała wiele lat później wspomniane pamiętniki, co przyniosło jej ogromny dochód. [*The Truth At Last: My Story*, Sidgwick & Jackson Ltd, London 2001].

„Zanim spotkałam Profumo, wiedziałam, że mężczyźni patrzą na mnie, ponieważ jestem atrakcyjna – stwierdziła. – Potem już nie byłam tego taka pewna. Stałam się erotycznym skalpelem. Mężczyźni chcieli iść ze mną do łóżka, ponieważ mogli z dumą powiedzieć: «Patrzcie, kogo trzymam w ramionach. Kobiętę szpiega»”.

Reżyser Michael Caton-Jones nakręcił o całej aferze film zatytułowany *Scandal* (w rolę Keeler wcieliła się aktorka Joanne Whalley), piosenki o Christine śpiewali Phil Ochs, Dusty Springfield i Pet Shop Boys (*Nothing Has Been Proved*). Wkrótce jednak wątpliwa sława zaczęła jej coraz bardziej ciążyć. Żeby przetrwać i zapewnić byt swoim dwóm synom, zmieniła nazwisko i wyjechała z Londynu (obecnie zamieszkuje w miejscowości Shortlands w hrabstwie Kent). Gdy tylko wychodziło na jaw, kim jest, natychmiast traciła pracę. Jej największym marzeniem jest, by o niej zapomniano. Ale chociaż od opisywanych wydarzeń upłynęło już prawie pół wieku, Christine Keeler i jej romans z ministrem do dziś są pożywką dla mediów.

„Jestem szczęśliwa sama z sobą – napisała w zakończeniu *The Truth at Last – My Story*. – Od wielu lat jestem sama. Niestety, każdego dnia muszę kogoś przekonywać, że nie jestem zła, że nie jestem podła i bezlitosna. Przetrwałam i prawdopodobnie nie powinnam już mieć ochoty na nic więcej”.

Przemysław Słowiński

A więc Schetyna zeszedł z ringu unikając nokautu. Można powiedzieć, że sam rzucił ręcznik na deski. Czy wskazał zawodnika jako swego następcę, który pozwoli mu kierować z tylnego siedzenia lub czynnie kibicować? Można by tak mniemać, bo ma nim zostać Siemoniak. Z wypowiedzi tegoż można by wnioskować, że poprzeczki nie podniesie. Kilka frazesów powiedzianych na gorąco jeszcze o niczym nie świadczą, a raczej świadczą, ale o kontynuowaniu pustego gadulstwa, jak następująca wypowiedź Siemoniaka: „*Musimy zejść na poziom powiatowy i regionalny. Jeśli wygram, będę chciał skierować więcej pieniędzy do powiatów. Uważam, że dziś tych pieniędzy jest tam za mało. Jeśli nie przekonamy Polski powiatowej, nie wygramy wyborów. To nasza racja stanu*”. O tę „Polskę powiatową” była i dotąd walka, z tym, że w powiatach mało jest ludzi, którzy trzęsą portkami z różnych powodów i pilno im do partii mniej dokładnej w rozliczaniu różnych, nazwijmy to, niedokładności.

Nie zaskoczył swym uwielbieniem dla Nowackiej i Kowala. Ten ostatni umie zmieniać skórę, a pani Nowacka, bliska jest Siemoniakowi w kwestiach stanowiska w sprawie życia nienarodzonych. Natomiast zupełnym zaskoczeniem jest stwierdzenie przez Siemoniaka, że przekonania są ważniejsze niż kariera czy doraźne korzyści”. Gdybym był kowalem (to nie błąd), zniechęciłbym się do Siemoniaka, jeśli miałbym brać jego słowa poważnie.

Siemoniak ma jednak konkurentów. Jednym z nich jest Bogdan Zdrojewski, który już od grudnia publikuje swój program, lub może raczej poglądy, we wiadomych mediach. Nie różni się on (program) od siemoniakowego. Oto co czytamy: *PO wymaga poważnej*

reformy. Lifting nie wystarczy. Potrzebne są zmiany: w sposobie podejmowania kluczowych decyzji, podmiotowości, ofercie programowej, organizacji życia partii, jakości komunikowania się ze społeczeństwem, także w samym przywództwie”.

No, powiedzmy, że jednak Siemoniak bardziej się wysilił. U Zdrojewskiego mamy prawie kalkę wczesnego Gierka i Cyrankiewicza. Co wszakże ciekawe, to jego opowiadanie się za *centrowym charakterem partii (z dwoma skrzydłami: prawicowym i lewicowym), proeuropejskim („PO powinna być najbardziej proeuropejską formacją w Polsce”)*. Wskazywał też na potrzebę demokratyzacji PO.

Innymi słowy chodzi o podsycanie ognia wodą. Bo lewica, obojętnie jaka czy proeuropejska czy bolszewicka, to coś tak różnego od prawicy, że w jednej umieszczone klatce, to jak lew i koźle. A w ogóle co Zdrojewski rozumie w tym kontekście pod pojęciem: *centrum* ? Wiadomo, jak to słowo znalazło się polityce, ale nigdy nie oznaczało powiązania między Bogiem i Belzebubem. Oj, może się nie udać, a już wielu może ostrzy sobie zęby. Nawet zapowiedź demokracji w PO jest wspaniałą obietnicą. Nareszcie. I czy nie tylko obietnicą ? Pytanie więc, czy Zdrojewski do końca wie o czym mówi ?

Joanna Mucha ma swoją taktykę: wali w Schetynę, bo lew ma już spróchniałe zęby. Pięknie to powiedziała: „*władze PO „doszły do ściany*”. I punktuję go dalej: *Platforma pod kierownictwem Grzegorza Schetyny wystartowała do wyborczych wyścigów w różnych konfiguracjach i tych wyborów nie wygrała. Nie możemy sobie pozwolić na przegranie jakichkolwiek przyszłych wyborów, bo to oznaczałoby*

Dokończenie na stronie 15

Zaczyna być ciekawie

(dokończenie)

bezpowrotnie utracone szanse dla Polski.

To nawet ładnie brzmi, ale pani Mucha z pewnością wygrałaby wybory, gdyby stawką była ocena waleńców wokalnych.

Bartosz Arłukowicz jeszcze inaczej to widzi: „Platforma musi być partią społeczną, musi być organizmem tętniącym życiem, musimy pracować z ludźmi codziennie na ulicach. Platforma Obywatelska musi wykorzystywać potencjał nie tylko posłanek i posłów, ale naszych radnych, wójtów, burmistrzów, ale przede wszystkim musimy wykorzystać potencjał tysięcy ludzi, którzy od lat budują nasze poparcie społeczne w terenie”.

Ciekawe, że na budowanie tak szerokiego frontu nikt w Platformie dotąd nie wpadł. Czyżby znowu trzeba było sięgnąć po wzorce pisowskie ?

A Schetyna niby zrezygnował, tak przynajmniej brzmi oświadczenia z 3 stycznia, ale piłka jest w grze. Schetyna jest przekonany, że „w ciągu czterech lat kierowania partią udało mu się odbudować pozycję Platformy”. To byłby prztyk w nos Tuska. Pewnie też jego poplecznicy namawiają go do kandydowania. Może nie tyle z sympatii dla niego, co w nadziei, że zaowocuje to korzyściami personalnymi. Ale jego przywództwo trapi kryzys. Jego głównym symptomem nie są trzykrotnie przegrane wybory, ale wypalenie się PO, tak pod względem ideologicznym – stała się ona bowiem partią bez wyraźnego oblicza – jak i kreatywnym. Po prostu zabrakło pomysłów w obawie przed koniecznością porzucenia wygodnego dotąd dolce far niente i rezygnacją z parasola jastrzębi unijnych gotowych wyklóć oko każdemu, kto przeciwstawi się libertyńskiemu lewactwu. Oczywiście w Polsce.

Na portalu Niezależna.pl. 4 I 2020 czytamy:

Szymon Hołownia, który będzie startował w wyborach prezydenckich, odpowiadał wczoraj wieczorem na pytania internautów. Zapytano go m.in. o legalizację związków partnerskich. Hołownia odpowiedział, że „jeśli w Sejmie znalazłaby się większość, a jeśli będę prezydentem, a większość przegłosuje ustawę, która zalegalizuje związki partnerskie dla osób tej samej płci, nie miałbym problemu z podpisaniem tej ustawy”.

Poglądy i plany Hołowni nikogo nie dziwią, bo nie takie rzeczy on podpisze, gdyby został prezydentem. Zastanawia jedno. To mianowicie, że w ogóle pretenduje on do urzędu prezydenta. Prawda, że nie ma on ani więcej ani mniej predyspozycji niż wielu innych pretendentów, ale sądziłem, że ma więcej samokrytycyzmu. Dziwne jest natomiast to, co tu i ówdzie słychać, że popiera go jakiś kardynał z Rzymu. A może to po prostu fake news, bo trudno wprost uwierzyć.

Czekamy na dalszych pretendentów do tronu. Jak na razie pojawił się znany ze zgrzebnej gwary Sienkiewicz.

Kto wie czy do kandydatów PO nie dołączy pan Tomasz Grodzki. Posiada bogate (dosłownie) doświadczenie w kierowaniu instytucjami pożytku publicznego nie bez własnego profitu. Już zainicjował własną politykę zagraniczną, pewność siebie ma wypisaną na twarzy i jest nietykalny. Taki kandydat nie musi mieć nawet makiety programu. On sam jest programem, jak jego partia.

Zygmunt Zieliński

Strona 15

Ostro, i z przytupem

Dopiero zdążył minąć miesiąc nowego 2020 roku, a już świat wszedł na najwyższe obroty gier politycznych. Są one niezwykle niepokojące, bo wprost zmierzają do wywołania wielkiego, otwartego konfliktu militarnego, którego koniec byłby żałosny dla wszystkich.

Zaskoczeniem było zabicie irańskiego generała Sulejmaniego, nie bardzo znanego z mediów. W każdym razie niewiele o nim wiadano w opinii publicznej. Na rozpoczęcie roku zamach na niego zafundował wszystkim Prezydent Trump. Ten niebezpiecznie ryzykowny krok jakoś dziwnie przypomina modus operandi osławionego Mossadu, z jego wcześniejszych prowokacji. Wydaje się, że chodziło o wywołanie nowej wojny na Bliskim Wschodzie, tym razem dążącej do unicestwienia Iranu, a pośrednio godzącego w pokój światowy w tym rejonie.

Nie twierdzę, że generał Sulejmani był aniołkiem. Z pewnością miał wiele na sumieniu jak każdy wyższy dowódca w tamtym rejonie świata. Jednakże przyrównywanie go post factum z bin Ladenem czy innymi tego typu osobnikami, dopiero po dokonaniu zamachu, jest jakimś naigrywaniem się z opinii publicznej.

Zauważyli to wszyscy, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie świata, niezależnie od politycznych sympatii czy antypatii. Oczywiście jest, że przeciwnicy Prezydenta Trumpa od razu dołączyli wielką krytykę jego osoby do wachlarza pseudozarzutów tzw. impeachmentu. Tym niemniej nawet po stronie republikańskiej zaskoczenie takim obrotem sytuacji było w pierwszych dwóch-trzech dniach bardzo powszechne.

Dokończenie na stronie 21

Polscy twórcy, którzy czują odpowiedzialność za państwo i naród (nazwijmy ich patriotami) narzekają, że nie są w stanie zdobyć dofinansowania do swoich książek, filmów, twórczości malarskiej, czy nawet naukowej. Nie są więc w stanie rozwinąć się, wypróbować swoich sił i talentów a także zareagować twórczo na ważne wydarzenia w kraju. Krótko mówiąc, to co przeżywamy nie ma opisu prawdziwego, lecz interpretację niemal wyłącznie lewicową lub wręcz lewacką. I to nie jest normalne. Tym bardziej, że na przestrzeni ostatnich 30 lat, podobno odzyskanej wolności, wiele fundacji, zwłaszcza niemieckich, penetrowało Polskę, a zwłaszcza ziemie odzyskane, w poszukiwaniu młodych zdolnych ludzi z cechami przywódczymi. Do tego trzeba dołożyć kilka katastrof lotniczych i kilkanaście samochodowych, w których zginęły osoby, które miały potencjał i mogły mieć wpływ na losy państwa, a może nawet i narodu, a także dwumilionową emigrację za Zachód, a więc najbardziej operatywnych młodych ludzi. To prawdziwy krajobraz po bitwie i potencjał naszych możliwości. Rzecz jednak w tym, że chyba niewielu tak to widzi.

Ale to jeszcze nie koniec wyliczanki. Twórcy lewicowi mają przetarte ścieżki i nie mają trudności z uzyskaniem dotacji, natomiast twórcy bezkompromisowi i rozumiejący swoją rolę w kulturze muszą toczyć batalie nie tylko z prawem, ale również wykańczające ich boje z urzędnikami. Nie chodzi tu o dyskryminację lewicowych twórców, lecz o właściwe proporcje.

Rasowi urzędnicy zwykle posiadają trzy charakterystyczne dla siebie niepisane prawa: 1. „uwalenie” sprawy chroni przed ryzykiem i redukuje pracę, 2. złe prawo jest sprzymierzeńcem bo nie pomaga, lecz szkodzi (resztę patrz j. w.), 3. obojętność jest jedynym sposobem na przetrwanie, bo potrafi zniweczyć nawet boską inicjatywę. Jeżeli przypadek pierwszy, w jakimś sensie może usprawiedliwiać młodego urzędnika, bo

długo szukała pracy, nie ma praktyki i nie chce mieć kłopotów, to drugi, tryska krystalicznym, wręcz pomnikowym, brakiem poczucia odpowiedzialności za wszystko... Ale to dopiero wstęp. Schody namnażają się, gdy taki młody adept jakiejś sztuki trafi na celebrytę lub kogoś, kto w jakiś sposób poczuje się zagrożony. Koniec. Gdy będzie napierał, w odpowiedzi, powstaje przeciwko niemu spółdzielnia, która swoją siecią zablokuje mu rozwój. Znam przypadek autora sztuki teatralnej, który otrzymał taka oto prywatna rada: warsztatowo twoja sztuka jest poprawna, ale jeżeli nie będziesz pisał o dewiacjach, będziesz marginalizowany. I była to bardzo szczerza rada.

Zarysowany wyżej szkic jest bardzo ramowy, ale już na jego przykładzie widać jaką kondycję ma polska kultura. Jej wektory i tendencje nie muszą mieć ani kierunku, ani korzeni politycznych. Część kieruje się ideologią, ale pozostali strachem lub najzwyczajszym tchórzostwem: „nie będę ryzykował bo mnie uwalą, a obecna pensja starcza mi na opłacenie długów”. Jeżeli taka diagnoza jest prawdziwa, to mamy sztukę z jednej strony opartą na dewiacjach, a z drugiej na strachu. Czyż nie jest to jej upadek?

Ale przyczyna tego wszystkiego leży w zupełnie innym obszarze. Ten obszar można nazwać: brakiem wyrobienia politycznego, poczucia państwa, zabetonowaniem wolności i inicjatywy, brakiem wyobraźni obywatelskiej lub prymitywną pazernością. Gdy wejdziemy na poziom administracyjny, to zauważymy stemplowy mechanizm i kompletny brak misyjności. Dla uściślenia trzeba jednak podkreślić, że zdarzają się urzędnicy, którzy rozumieją swoją rolę (a więc można!), ale jest ich zdecydowana mniejszość. Ogólnie obowiązuje zasada, że jak nie masz jakiegoś palca, który popchnie twoją inicjatywę/sprawę, ugrzęźnie ona w jakiejś szufladzie, w którymś komputerze lub na jakiej półce. I amen. A czas dla

wszystkich biegnie nieubłagane. Żeby nie być gołosłownym, odwołam się do powojennej sytuacji na Śląsku. Spotykałem się tam z taką uwagą: spisujemy i opracowujemy wszystko, co się da, bo jak przyjdzie do rozliczenia z Niemcami, nie będziemy mieli żadnych argumentów.

Czy tak trudno zrozumieć, że jeżeli nie odwołamy się do prawdy, nie opiszemy swoich czasów i nie wyłożymy swoich prawdziwych argumentów, to inni nas wyśmieją i ponownie wygra lewacka, krzywdząca nas opinia, a nasze dzieci nie będą w stanie zrozumieć ani swoich rodziców, ani czasów w których żyli? Będą powtarzały kolejne fałszerstwa na swój własny temat i będą miały jeszcze mniejsze szanse na obronę swojego stanu posiadania i swojej prawdy. Przykładem już jest Polskie Państwo Podziemne, Ziemie Odzyskane – tu jest kompletna tabula rasa. Nie mamy też opisów tego, co działo się po 1989 r. na obszarach biedy, jaka nawiedziła polski obszar, i jak sobie z nią radzono. Nie mamy opisu przejmowania polskiej ziemi w III RP, nie znamy sposobów i ścieżek degradacji polskiej tradycyjnej inteligencji, coraz mniej rozumiemy swoją kulturę i sens walki naszych przodków, itd. Nasze społeczeństwo nie posiada odpowiedniej idei scalającej naród (po wojnie taką była idea ziem piastowskich), polityka blokuje myśl kulturową i racjonalny ogląd sytuacji, nie mamy jednego politycznego wektora – nie znając właściwego punktu odniesienia stoimy w miejscu obracamy się w kółko itd., itd. Opisy naukowe, w większości są fragmentaryczne, nie odpowiadają na pytanie co się stało po 1945 r., a co po 1989 r.? Ba, prócz urzędowych dokumentów nie ma materiałów na szerszy opis. Redakcje zubożały do tego stopnia, że nie stać je na reportaż, a dziennikarze poszli w kierunku łatwizny – albo na sensację, albo w tematy budzące emocje. Za to są nagradzani. Nie ma reportażów społecznych, które

Rubikon przekroczony

łączą społeczeństwo z władzą i odwrotnie. Dość znany jest fakt młodego dziennikarza, który zamiast udać się na miejsce zdarzenia, odpowiedział kierownikowi redakcji, że jeszcze nic na ten temat nie ma w internecie. Coraz mniej ludzi potrafi właściwie ocenić wartości dzieła, ale najgorsze jest to, że nikomu nic już się nie chce !

Odbudowa państwa zawsze ma dwa filary: gospodarczy i kulturowy. Bez ich synchronizacji nie zbudujemy trwałych fundamentów, oddzielając je budujemy domki na piasku. Zależność jest jednak taka, że gospodarkę można rozłożyć lub zablokować w ciągu kilku miesięcy, natomiast zbudowaną jedność kulturową, która trzyma gospodarkę, trzeba mozolnie rozwalać przez dwa pokolenia. Nie inwestujemy w naszą przyszłość.

Pytanie, jak z tego wyjść ? A czy nie może powstać na początek np. jeden teatr, który zajmowałby się wystawianiem sztuk młodych autorów, nie tych lewackich, lecz uwrażliwionych na los ludzi, los państwa, kultury i narodu? Boiskami i stadionami z grubszą nasyciliśmy kraj, ale czy odpowiednio nie mogłyby powstać ukierunkowane galerie, domy kultury, kluby dyskusyjne, szkoły o profilu klasycznym itd. ? To wszystko oczywiście połączone w jedną sieć wspólnej przyjaźni ? Czy nie mogą powstawać odpowiednie konkursy, które racjonalnie finansowałyby wysiłki penetracyjne i zmuszały do szukania prawdy o naszych czasach ? Złożenie sensownej pracy byłoby rozliczeniem końcowym. Wyróżnienie, dawałoby szansę na pracę i kierunkowy rozwój. Czy obok disco pola, nie może powstać okienko w radio i telewizji, które promowałoby tak skonstruowaną nową falę literacką? Czy nie mogą powstać miejskie strony internetowe informujące o planie przyszłych imprez kulturalnych lub spotkaniach w mieście ? O taką w Lublinie prosiłem obydwie strony polityczne. Przedstawiciele obydwu partii bali się reklamy spotkań drugiej

strony. Czy poważne miasto nie stać na finansowanie jednej reprezentacyjnej księgarni, księgarni muzycznej oraz antykwariatu? To nie są duże koszty. Czy naprawdę nie mamy ambicji kulturalnych; czy naprawdę już do takiego stopnia schamieliśmy ?

Każda kultura ma swój kod kulturowy, który nieustannie trzeba rozwijać i udrażniać. Odejźmy od naśladownictwa, rozwijajmy to, co polskie i nie upatrujmy w tym jakiegoś nacjonalizmu, lecz odwrotnie, szansę na prezentację siebie.

Siłą motoryczną romantyzmu był patriotyzm, ale zaowocował jeszcze w Oświeceniu. Potem wykuwał się w powstaniach narodowych, na Wielkiej Emigracji, w literaturze. Pozytywizm przyniósł załamanie wiary w sens walki. Ale patriotyzm wygrał w następnym okresie – w Młodej Polsce i okresie międzywojennym. Ba, musiał wygrać, ponieważ jest kręgosłupem polskich dziejów. I tak jest również dzisiaj, a więc racjonalny patriotyzm albo śmierć.

Wielka literatura i wielka nauka nie powstają na podłożu wirtualnej rzeczywistości, nie narodzą się z małości, kundlizmu, krótkiej perspektywy, czy bylejakości. Ona wymaga wysiłku, szczerości, oddania prawdzie i poczucia odpowiedzialności.

Naród, który nie ma możliwości swobodnej kreacji poprzez własną i wolną twórczość – umiera! Jeżeli nie będzie wysokiej literatury, historycy nie napiszą dobrej historii, socjologzy będą stawiać złe diagnozy, a politycy nie otrzymają stosownych analiz. I odwrotnie: jeżeli naukowcy nie wypracują właściwych interpretacji, nie powstanie na wysokim poziomie literatura. Wszystko jest bowiem naczyniem połączonym.

Ryszard Surmacz

Ostatniego dnia stycznia czekano na północ, od której Wielka Brytania oficjalnie opuści Unie Europejską. Przemówienie premiera Botysa Johnsona, nagrane parę dni przed tym czasem akcentowało główne przyczyny odejścia tego kraju od powolnego wchłaniania go przez lewackie struktury. Premier podkreślał w nim, że głównymi motywami było przywrócenie niepodległości Wielkiej Brytanii, zwłaszcza zaś na płaszczyźnie spraw zagranicznych czy gospodarczych.

Wielu Brytyjczyków świętowało ten moment na ulicach Londynu. Jednakże północ z 31 stycznia na 1 lutego jest dopiero przekroczeniem swobodnego Rubikonu walki. Bo wkracza ona teraz na inne tory: systematycznego niszczenia Zjednoczonego Królestwa przez jego rozczłonkowanie. Komentarze różnej maści mediów zapowiadają dążenie do nowego referendum niepodległościowego w Szkocji oraz oderwanie Irlandii Północnej. Wygląda na to, że teraz będziemy mieli z próbami zastosowania scenariusza jugosłowiańskiego.

Lewacka biurokracja unijna niczego nie nauczyła się po próbie wtłoczenia Wielkiej Brytanii w ramy jednego superpaństwa, w którym ośrodek władzy mieści się w Brukseli, zaś niepodległość jest mrzonką. Rządzący tam Niemcy (w mniejszym stopniu Francuzi) dyktują warunki wszystkim regionom, a więc niegdyś niepodległym państwom, które spadły do roli czegoś w rodzaju województwa. Pierwsza powiedziała temu scenariuszowi głośne NIE Wielka Brytania. Tyle, że teraz, w tzw. okresie przejściowym będziemy świadkami niezwykle silnych prób rozczłonkowania niepokornych Anglików. Czy to się uda ? Czas pokaże. Rubikon został przekroczony.

Remigiusz Ostrowski

Współczesna lewicowość ma pewną cechę wspólną z wirusem grypy – nadzwyczajną zdolność do tworzenia licznych mutacji. U progu XX wieku świat znał tylko socjaldemokratów, socjalistów (beprzymiotnikowych) oraz komunistów. Dziś obok Nowej Lewicy występuje lewica laicka, liberalna, antyfaszyści i globaliści, ekolodzy i klimatolodzy, weganie i frutarianie, aborcjonisci, genderyści i wiele innych, a wspólną cechą wszystkich tych mutacji jest niechęć do zachodniej cywilizacji i chrześcijaństwa. Jest to obecnie główny wyróżnik lewicowości.

Obserwujemy wielką ekspansję lewicy – kultura, szkolnictwo i media zostały już niemal doszczętnie skolonizowane. W jaki sposób możliwy był tak ogromny sukces? Otóż tylko lewica wykształciła mechanizmy samopowielania się i replikacji swoich „funków”. Wykorzystywano w tym celu znakomite osobistości i autorytety mniej lub więcej moralne (a czasem zgoła niemoralne). Już w latach 50 – tych Stalin woził po Europie tzw. „Cyrk Stalina”, w którym rozmaite Aragony, Picassa, Sartry, czy Iwaszkiewiczze wykonywały swoje numery kierując poglądy widzów w słuszną stronę. Ale dopiero czasy nam bliższe ujawniły tak ogromne zapotrzebowanie na celebrytów, że zaistniała konieczność ich produkcji. Stąd wielka ilość rozmaitych konkursów, festiwali, czy rozmaitych paszportów Polityki. Ale największe znaczenie ma nagroda Nobla, gdyż jeden dobrze rozstawiony noblista dysponuje siłą rażenia większą, niż tysiące zwykłych żołnierzy lewicy.

Zakłada się, że po raz pierwszy sowieckim służbom udało się skutecznie wpłynąć na werdykt noblowski w 1954 roku, gdy nagrodę otrzymał uzdolniony literacko agent KGB Ernest Hemingway (ps. „Argo”). Wkrótce jego książki w milionach egzemplarzy zaczęły rozchodzić się po całym świecie rozsiewając miłe sowietom treści. Pomimo, że wiadomość o agenturalności pisarza jest znana od kilku lat, Amerykanie są bardzo dumni ze swojego

„amerykańskiego Nobla”, o czym świadczą liczne wycieczki zwiedzające jego dom – muzeum na Key West. Mimo, iż zarówno nominacje jak i wybór laureatów są długie i rygorystyczne, rosyjscy fachowcy potrafią znaleźć „dojścia” do recenzentów, jurorów i członków Akademii – świadczy o tym wyraźny ślad „ruskiej onucy” u niektórych laureatów. W zasadzie Rosjan interesują tylko nagrody pokojowe i literackie, ale w apogeum zimnej wojny przyznano laur pewnemu fizykowi za opis „atomowej zimy” będącej konsekwencją wymiany ciosów atomowych. Strasznie zachodnich społeczeństw nuklearną zagładą wpisywało się w sowiecką strategię – organizowano wówczas masowe „ruchy pokojowe” pod hasłem „lepiej być czerwonym niż martwym”. „Kolejna reaganowska złośliwość, tym razem firmowana z Oslo – niewielki epizod w antypolskiej i antykomunistycznej krucjacie” – tak informację o Noblu dla Wałęsy (1983) skomentował rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Jednak ta prestiżowa nagroda miała wymiar globalny, co przyznał sam laureat mówiąc, że bez jego Nobla komunizm by nie upadł, a on nie byłby w stanie wprowadzić demokracji.

Jerzy Targalski uważa, że przygotowania do „pierestrojki” zaczęły się wraz z objęciem przez Jurija Andropowa funkcji szefa KGB (1967), a ich pierwszym symptomem były wielkie ruchy kadrowe w sowieckich służbach. Zmieniono wówczas priorytety – ze szpiclowania, czyli zbierania informacji, na „zarządzanie postrzeganiem” (wpływanie na świadomość) niezbędne w „demokracji”, którą zamierzano zainstalować. Dlatego wierzę słowom pani Kiszczakowej gdy mówi, że demokrację w Polsce wprowadził jej mąż, bo to on animował te wszystkie pacynki, które są uważane za „ojców polskiej demokracji”. Wierzę także jej twierdzeniom, że nagrodę Nobla Wałęsa zawdzięcza jej mężowi... Choć sam noblista został zdemaskowany i skompromitowany (nie udało się zatuszować jego agenturalności), ale w

dalszym ciągu pozostaje zwornikiem wszystkich beneficjentów transformacji ustrojowej.

Skutecznie zatuszowano natomiast skandal wokół laureata Pokojowej Nagrody Nobla z roku 1986 – Elie Wiesela. Noblista – profesor amerykańskich uniwersytetów, humanista, myśliciel – jest twórcą pojęcia Holokaustu i autorem książki „Noc” opisującej koszmar obozu koncentracyjnego. Tymczasem książka okazała się plagiatem książki innego Wiesela, o imieniu Lazar, wydanej w małym nakładzie po wojnie, w hermetycznym języku jidysz, której autor rzeczywiście był więźniem Auschwitz. Elie Wiesel został zdemaskowany przez Żydów – więźniów obozu, którzy poprosili go o pokazanie ramienia z numerem obozowym. Profesor odmówił tłumacząc, że przekonania religijne nie pozwalają mu na obnażanie własnego ciała...

W myśl regulaminu, Pokojową Nagrodę Nobla oferuje się osobom, które wykonują „najlepszą pracę na rzecz braterstwa między narodami, likwidacji lub redukcji stałych armii oraz za udział i promocję stowarzyszeń pokojowych”. Tym założeniom w pełni odpowiada laureat z roku 2002 – amerykański prezydent Jimmy Carter – z zawodu hodowca orzeszków ziemnych, człowiek gołębiego serca, szlachetny, wrażliwy, szczerzy. Stale podkreślał rolę moralności w polityce. Brzydził się wszelkim kłamstwem, mactwem, knowaniem. Te cechy sprawiały, że był wysoko cenionym... przez sowietów.

Ambicją Cartera było pozyskanie zaufania „skrajnie nieufnego” ministra spraw zagranicznych ZSRR Gromyki (zwanego „mister niet”), aby przekonać go, że Ameryka naprawdę nie ma złych intencji i nie zamierza szkodzić „obozowi socjalistycznemu”.

Dlatego Carter dokonał kilku jednostronnych, bezinteresownych ustępstw wobec ZSRR. Jednym z

Ciąg dalszy na stronie 19

większych jego „dokonań” było wydarzenie z listopada 1973 r. znane jako „Haloween Massacre”. Zwolniono wówczas wielką ilość oficerów CIA paraliżując na długie lata działalność tej instytucji. Wcześniej KGB przy pomocy zaprzyjaźnionej wielkonakładowej prasy amerykańskiej przygotowało klimat medialny – ukazała się seria artykułów o nieprawidłowościach w CIA (ponoć łamano tam prawa człowieka).

Pisarz Khaled Hosseini stwierdził, że J. Carter zrobił więcej dla komunizmu, niż Breżniew i chyba miał rację.

W przeciwieństwie do Cartera, prezydent Obama dostał Nobla niejako z góry, w ciemno. Ostateczny termin zgłaszania nominacji do nagrody upływa 31 stycznia, bo uroczystość wręczenia nagród odbywa się zawsze 10 grudnia. Barak Obama rozpoczął urzędowanie 20 stycznia 2009 roku, a więc 10 dni „pracy na rzecz braterstwa między narodami” wystarczyło aby zasłużyć na prestiżowy laur.

Życiorys Baraka Obamy podlegał retuszom - dość szybko odstąpiono od narracji o „ubogim, czarnoskórym chłopcu z przedmieścia” (tacy nie studiują na Harvardzie). Wiadomo, że babka Baraka była prezesem banku na Hawajach, a matka - hippiska o przekonaniach lewicowych, jako etnograf przejawiała wielkie zainteresowanie (zawodowe?) mużulmańskimi mężczyznami różnych ras i narodów (ojciec Baraka - Kenijczyk, ojczym – Indonezyjczyk). Faktem jest, że prezydent wyrastał w atmosferze będącej dziwną mieszanką islamizmu, judaizmu i lewicowości. Mużulmanizm porzucił przyjmując chrzest, ale z lewicowości nie wyrósł – świadczy o tym imię jego córki (powszechną praktyką sympatyków ZSRR było nadawanie rosyjskich imion dzieciom). Prezydent Obama spełnił pokładane w nim nadzieje - podejmując działania zmierzające do ograniczenia obecności USA w Europie, ośmielił Rosjan do inwazji na Ukrainę.

Literatura piękna, bo postępową

Dla „sił postępu” równie istotni jak

laureaci, są jurorzy i recenzenci kwalifikujący nominatów, bo dzięki nim możliwy był ten wielki przechyl w stronę lewicowości literackiej nagrody Nobla ostatnich dziesięcioleci.

Jednym z najbardziej wpływowych krytyków literackich globu był przez niemal 50 lat Marcel Reich – Ranicki. Warto przyjrzeć się bliżej tej postaci o fascynującym, i równocześnie dość typowym dla ludzi lewicy, życiorysie.

Reich-Ranicki zwany „papieżem niemieckiej literatury” mówił o sobie, że jest „pół - Niemcem, pół – Polakiem, ale całym Żydem”, ale jego „Ojczyzną jest literatura”. Był kimś więcej niż tylko krytykiem literackim - mówiono o nim, że jest „lustrem niemieckiej winy”, a jego autobiografia „Moje życie”, stała się lekturą szkolną.

Ranicki wykładał literaturę na amerykańskich uniwersytetach, posiadał profesurę w Sztokholmie i Uppsali (przypadek profesora bez studiów nie był tylko udziałem Bartoszewskiego), posiadał liczne doktoraty honoris causa. W 1994 r. „wybucha bomba” – opublikowano książkę Gerharda Gnauka „Reich-Ranicki - polskie lata”, w której „papież” został zdekonspirowany jako agent komunistyczny. Wydawało się, że jego oszałamiająca kariera wisi na włosku. Jednak murem stanęła za nim rzesza literatów, których uprzednio wylansował. Reich tłumaczył, że do pracy w UB zmusiło go życie aby obronić się przed słynnym polskim antysemityzmem. Niemcy to „kupili” (nie lubią grzebania w życiorysach) i krytyk utrzymał swą pozycję.

Pracując w Judenracie warszawskiego getta, Reich „ukrył” kasę Judenratu („by nie dostała się w ręce Niemców”) i ta kasa pomogła mu w ucieczce i przetrwaniu po stronie „aryjskiej”. Po wkroczeniu Sowietów natychmiast oferował im swoje usługi, gdyż – podobnie jak tysiące jego pobratymców - bezbłędnie wyczuwał wiatr historii i energicznie angażował się po stronie „słusznej sprawy”, czyli po stronie silniejszego.

„Po wojnie Reich-Ranicki służył w polskim wojsku; wstąpił też do PPR. Pracował w MSZ i w wydawnictwach literackich. Krytycy zarzucali mu współpracę z komunistycznymi służbami. We wrześniu 1946 porucznik Reich został odznaczony przez Prezydium Krajowej Rady Narodowej „za wybitne zasługi, wykazane męstwo w walce z bandami dywersyjnymi oraz wzorową służbę”. (Wirtualna Polska)

W jakim to wojsku służył Reich - precyzuje Gazeta Wyborcza:

„Wówczas wiąże się z Urzędem Bezpieczeństwa. Dla UB pracuje najpierw w Katowicach, potem w Londynie, gdzie pod przykrywką konsula jest rezydentem polskiego wywiadu. Przyjmuje wówczas nazwisko Ranicki.

To, co robił, owiane jest tajemnicą. Pojawiały się głosy, że zwabiał w pułapkę polskich emigrantów, którzy po powrocie do Polski ładowali w komunistycznych więzieniach”.

W Londynie Ranicki (ps. „Albin”) miał do pomocy młodego Czesława Kiszcza, którego zatrudniono w ambasadzie PRL na stanowisku... pomocnika dozorca (?). Po ukończeniu misji Reich - już Ranicki zostaje odwołany do Warszawy i rozpoczyna pracę w wydawnictwach literackich, ale wkrótce ucieka do NRF. Czy w 1958 roku było by to możliwe bez wspomagania służb? Agenci nigdy nie jechali „w ciemno” - zawsze mieli teren przygotowany, więc szybko pomocy udzielili mu dwaj znani pisarze, a Reich, używający już dwuczłonowego nazwiska, zaczął pisać w najbardziej prestiżowych gazetach.

W Polsce dziwiono się, dlaczego człowiek o takiej pozycji, deklarujący „polskie korzenie”, niezbyt wiele zrobił dla popularyzowania polskich autorów (choć przyczynił się do nagród Nobla dla Miłosza i Szymborskiej będąc jedynym ekspertem zdolnym czytać ich wiersze w oryginale).

„Reich – Ranicki przyczynił się do rozpropagowania w Niemczech m.in. książki Andrzeja Szczypiorskiego „Piękna pani Seidenmann”. Książka stała się w Niemczech bestsellerem. Powieść ta wzbudziła w Polsce kontrowersje, ponieważ przełamywała utarty schemat oprawcy i ofiary, przedstawiając postać przyzwoitego niemieckiego żołnierza, chciwego Polaka ograbiającego prześladowanych Żydów i zdradzającego nawet własnych rodaków.”

„Piętnował w swoich wypowiedziach i publikacjach wady Polaków, krytykował też działalność Kościoła katolickiego. Opowiadał się za pojednaniem i zbliżeniem polsko-żydowskim, stał na czele Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej”

„Szczypiorski został pozyskany na tajnego współpracownika w latach pięćdziesiątych. Przyjął kryptonim „Mirek”. Niemal cała jego bliższa i dalsza rodzina miała od dawna silne związki z UB. W latach sześćdziesiątych Szczypiorski był aktywnym publicystą głoszącym ideały PZPR. Dopiero w latach 70-tych zaczął odgrywać rolę jednego ze sztandarowych opozycjonistów, a w latach 1989-1991 pełnił urząd senatora z ramienia UD” (Wikipedia)

Szczypiorski prawdopodobnie był przygotowywany do nagrody Nobla - świadczy o tym ogromna ilość tłumaczeń i nagród „wstępnych”, ale przedwczesna śmierć autora uchroniła nas przed kolejnym „polskim Noblem”. Warto wiedzieć, że pisarz w 1981 roku był internowany w luksusowym ośrodku wypoczynkowym w Jaworzu – miejscu, w którym uwiarygodniano całą ekipę przeznaczoną do objęcia władzy po „upadku komuny”. W oddalonym o 5 km hotelu dla kadry wojskowej w Głębokiem był jeszcze jeden ośrodek internowania. Przetrzymany tam inną ekipę - najwyższych funkcjonariuszy partyjnych PRL z E.Gierkiem na czele - którą właśnie odwołano.

Ciekawostką może być informacja, że pani Gierkowa przylatując z Warszawy

helikopterem w odwiedzin, „podwoziła” przy okazji panią Szczypiorską - żonę „opozycjonisty”...

O kooperacji krytyka Ranickiego z pisarzem Szczypiorskim tak pisze W. Łysiak:

„Słynny pisarz, głosiciel prawd moralnych, wielki nauczyciel narodu stał się niezwykle cenionym publicystą, autorytetem moralnym i intelektualnym w Polsce lat 90. Dlaczego akurat Niemcy byli tak zainteresowani wszystkim, co Szczypiorski pisze i gada ?

Dlatego, że o ile „Salonowi” michnikowskiemu nie udało się wypromować Szczypiorskiego na całym świecie jako geniusza współczesnej literatury (przeszkodziła temu rażąco licha jakość tej pisaniny), o tyle w Austrii i w Niemczech się udało. Kogo spośród cudzoziemskich autorów tłumaczyło się, wydawało i reklamowało w Austrii i w Niemczech - decydował przez kilkadziesiąt lat tamtejszy legendarny M. Reich-Ranicki. Świat XX wieku nie znalazł drugiego tytana, który jednoosobowo – decydowałby o karierach literackich w całym obszarze jednego spośród czterech głównych języków globu. U schyłku XX stulecia wyszło na jaw, że od 1945 roku ten polsko-niemiecki Żyd był oficerem bezpieczeństwa komunistycznej (najpierw NKWD, później UB, wreszcie Stasi). To on wprowadził kolegę, TW „Mirka”, na niemieckojęzyczne salony literackie, to on wmówił Niemcom i Austriakom, że Szczypiorski jest wirtuozem współczesnej literatury, i to on uczynił tam pewną kiepską literacko książkę Szczypiorskiego arcydziełem prozatorskim XX wieku”.

Mrówcza praca Reicha Ranickiego nad społeczeństwem niemieckim przyniosła widoczne owoce w postaci ekspansji lewicowości („od ostatnich wyborów polityczne preferencje Niemców przesunęły się o 7 pkt. procentowych w lewo”), ale my powinniśmy wystawić Ranickiemu mały pomniczek za wychowanie 90 mln Niemców na zniewieściałych pacyfistów.

Nagroda Nobla, ani żadna inna, nie była potrzebna Jerzemu Kosińskiemu, który jako „dziecko Holokaustu” i emigrant z komunistycznego kraju, opublikował w 1965 roku „Malowanego Ptaka” - pierwszą antypolską książkę po II Wojnie Światowej.

Książka opisuje dramatyczne dzieje 6 – letniego żydowskiego chłopca tułającego się po wsiach wśród wrogiej i prymitywnej ludności. Tylko pojawiający się Niemcy mają ludzkie cechy. Dziecko doświadcza przemocy i jest świadkiem przerażających scen (wydłubywanie oczu łyżeczką, sodomia dziewczyny z kozłem itp.) Kosiński niedwuznacznie sugerował, że ta epatująca sadyzmem i pornografią książka ma elementy autobiograficzne.

Okazało się, że właśnie takiej literatury potrzebuje Ameryka. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla Elie Wiesel uznał, że dzieło jest wybitne i ta rekomendacja uruchomiła oszałamiającą karierę Kosińskiego. Z dnia na dzień stał się celebrytą i ulubieńcem amerykańskich salonów, wyładał na uniwersytetach, przyjaźnił się z politykami i został prezesem amerykańskiego PEN Clubu. Założył coś w rodzaju przedsiębiorstwa literackiego, w którym zatrudnieni przez niego „ghost writerzy” pisali mu książki, które tłumaczone na 20 języków rozchodziły się w milionach egzemplarzy na cały świat. W końcu okazało się, że jego życiorys nie ma nic wspólnego z tym opisanym w książce, powieści są plagiatami (m. in. z Dołęgi – Mostowicza), „Malowanego ptaka” ktoś mu napisał (Kosiński wtedy słabo znał angielski), a piszący „murzyni” się zbuntowali i zażądali podwyżek. Jego upadek był równie spektakularny jak kariera – jako kłamcę i plagiatora usunięto go z PEN Clubu, a Kosiński popełnił samobójstwo. Pomimo że jest to postać doszczętnie skompromitowana, teatry w Poznaniu i Warszawie wystawiają „Malowanego Ptaka”, a film oparty o tę kłamiwą historię właśnie kandyduje do Oskara. Było by wielkim zaskoczeniem,

Ostro, i z przytupem (dokończenie)

gdyby nie wygrał.

W przeciwieństwie do Kosińskiego, inni pisarze potrzebują jednak wieloletniego promowania, żeby zaistnieć. Dawno skończyły się czasy, gdy pisarz napisał genialne dzieło i dostawał Nobla. Dziś na sukces pracuje cały kolektyw, niczym w rajdach formuły 1. Pisarz musi otrzymać szereg

nagród „pomniejszych” (zaczynając od michnikowej Nike), uzyskać życzliwość recenzentów, odbyć spotkania zagraniczne (najlepiej w Teatrze Odeon w Paryżu w towarzystwie pani Very Michalski-Hoffmann, dyrektorki wydawnictwa Noir sur Blanc) i musi mieć tłumaczenia na języki „cywilizowane”. Dzięki temu, że uczynny Instytut Książki przetłumaczył dzieła Olgi Tokarczuk na 25 języków (w ramach promocji kultury polskiej), dziennik „Le Parisien” mógł poinformować, że powieści Tokarczuk zostały przetłumaczone na 25 języków i napisać:

„Olga Tokarczuk to pisarka, która nie waha się angażować w życie społeczne i wypowiadać publicznie sądów nie zawsze popularnych. Zabierała głos w sprawie uchodźców i praw mniejszości”.

Wszystkie doniesienia medialne wspominają też jej zaangażowanie w ekologię i krytycyzm wobec rządu polskiego. Poglądy noblistki są jednak pospolite i przewidywalne – mieszczą się w „pakiecie podstawowym” zestawu, w jaki wyposażeni są wszyscy czytelnicy Gazety Wyborczej (choć potrafiła też zaskoczyć mówiąc o niewolnikach i polskich koloniach).

Czy na werdykt noblowski wpływają względy artystyczne, czy ideologiczne – polityczne, zwłaszcza teraz, gdy wprowadzono parytety płci i terytorialne? Wielu ludzi, podobnie jak red. Żakowski, wiązało nadzieję z wpływem nagrody na werdykt wyborczy Polaków. Czy jurorzy też mieli taką nadzieję typując Tokarczuk do nagrody na rok 2018 - przed „maratonem” wyborczym w Polsce? Choć wokół literackiego Nobla afery i

przecieki zdarzały się od lat (np. przy nagrodzie Szymborskiej), jednak co musiało się zdarzyć ostatnio w Akademii, że aż trzeba było usunąć siedmioro spośród 18 dożywotnio wybranych członków, aby móc wydać komunikat, że w dostojnej instytucji „nie ma już przestępców”?

Czy wyniki wyborów w Polsce byłyby inne, gdyby skandal korupcyjno – obyczajowy nie zmusił Akademii do odroczenia werdyktu o rok?

Szkoda, że najlepsi literaci nie zawsze mają empatię wobec ludzi, wśród których przyszło im żyć.

Czesław Miłosz uważający się za „Bałta” (a nie Polaka) był uwięziony w języku polskim, jako medium swojej literackiej ekspresji. Olga Tokarczuk będąc pisarką polską, czuje się przede wszystkim Europejką i Dolnoślązyczką (?). Gretkowska musi pisać dla ludzi o ciasnych, słowiańskich czaszkach, Nurowskiej przyszło żyć w kraju, którego nienawidzi. Nasuwa się pytanie – czy najbardziej utalentowani są ludzie, którzy nie do końca utożsamiają się z Polakami? Czy może istniejące mechanizmy promocyjne ułatwiają karierę właśnie takim ludziom?

Mecenas może ułatwić karierę, ale ma swoje oczekiwania od pisarza – usługodawcy.

Zagraniczni literaci są w bardziej komfortowej sytuacji - nikt nie oczekuje, żeby Orpan Pamuk rozprawiał się z tureckimi mitami narodowymi, czy Khaled Hosseini piętnował afgańskie wady narodowe, a polski pisarz musi. Zły los zmusił światłych polskich pisarzy do życia wśród krnąbrnych i prymitywnych ludzi, którzy wyznają najgorszą z możliwych religię, zjadają zwierzęta, biją żony, palą w kopciuchach węglem i wybrali sobie populistyczny, łamiący konstytucję rząd.

Nie jest łatwo być polskim pisarzem.

Jan Martini

Kalkulacja na wywołanie wojny z Iranem spaliła na panewce, bo Iran zachował się po mistrzowsku jeśli chodzi o dyplomatyczne rozegranie sprawy: przypuścił „zaciekły” atak raketowy na dwie bazy wojskowe USA w Iraku ale tak, aby nie zostało trafione żadne żywe stworzenie, a już absolutnie żaden żołnierz USA. W ten sposób Iran odniósł rzeczywiste zwycięstwo, co zresztą zrozumiał i sam Donald Trump.

Napięcie tak szybko, jak się pojawiło, tak szybko opadło ku wielkiemu zawodowi władz Izraela, a zwłaszcza premiera Netanjahu. Wydaje się bowiem, że główny powód tego napięcia miałby wspomóc sypiącemu się rządowi tego kraju i oskarżonemu o korupcję Netanjahu. Wiadomo, że sam Izrael nie jest w stanie wygrać wojny z Iranem a wszelkie nadzieje wiąże się tam z jak największą obecnością wojsk USA (oraz ich sojuszników) w tym rejonie.

Całe zamieszanie z zamachem na irańskiego generała miałoby sporą szansę „rozejść się po kościach” gdyby nie straszliwy, tragiczny w skutkach wypadek z zestrzeleniem cywilnego samolotu ukraińskich linii lotniczych z 176 osobami na pokładzie. Tutaj rodzi się pytanie: cóż za debil zezwolił komercyjnemu samolotowi na start, kiedy właśnie trwała akcja raketowa? Być może była to pomyłka, być może celowa prowokacja. Czy kiedyś się tego dowiemy? Miejmy nadzieję, że tak.

Ten wielki „przytup” początku roku 2020 był niezwykle niebezpiecznym wydarzeniem, które mogło mieć nieobliczalne wręcz konsekwencje. I chociaż na razie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, jednak nie sposób wykluczyć, że bieżący rok będzie obfitował w podobne sytuacje, a któraś z prowokacji może mieć o wiele poważniejsze konsekwencje.

Roman Skalski

45 % Polaków głosuje na „totalną”.

Z czego się cieszyć ?

(dokończenie)

szukać jak nie w ongiśniejszych kadrach pezetpeerowskich ? Tusk i jego formacja, która dzięki wyborcom ma marszałka senatu, który gwizdże na prawo i robi tak, by poprzeć owe 45%, a ponieważ w polityce orientuje się, mniej niż przeciętny kowalski, przeto sądzi, że jest Piłsudskim.

To są fakty i nie wolno robić wierszówki na ich aż do znudzenia przypominaniu. Trzeba zająć się rzeczywistym problemem, a jest nim wprost samobójcza niedojrzałość dużej części Polaków, którzy zapomnieli wszystkie klęski, jakie na ten kraj spadły. Nie tyle z ręki zaborców, ile wskutek służalstwa wspierających ich kanalii. Zawsze potrafili się jakoś nazwać, „targowica” czy któraś tam volksgrupa, ale zawsze robili jedno: kłasi to, czego powinni bronić. I tak czynią w dalszym ciągu.

Zygmunt Zieliński

OGŁOSZENIE REDAKCJI

Informujemy naszych Czytelników, że z bieżącym numerem zmieniamy formułę ukazywania się naszego pisma. Nie będzie ono już dwutygodnikiem, lecz miesięcznikiem, ukazującym się pierwszego dnia każdego miesiąca. Zmiana formuły pozwoli nam na sukcesywne powiększenie objętości kolejnych numerów, dzięki czemu będziemy w stanie zamieszczać w nim większe objętościowo artykuły.

Z życia Polonia Semper Fidelis

Zosia Niemczak mistrzynią Polski w pływaniu !



Zosia Niemczak ze zdobytymi medalami (złotym, srebrnym i brązowym) na Mistrzostwach Polski w pływaniu. (fot. PSF)

W dniach od 18 do 22 grudnia 2019 roku odbyły się w Ostrowcu Świętokrzyskim Mistrzostwa Polski w pływaniu. Wzięła w nich udział po raz pierwszy Zosia Niemczak, która właśnie w zeszłym roku otrzymała polskie obywatelstwo. Jest ona córką naszego Koordynatora Polonia Semper Fidelis na stan New Mexico pana Antoniego Niemczaka, równie wybitnego sportowca i zdobywcy tytułów mistrza Polski oraz Europy w biegach długodystansowych i maratonie.

Zosia Niemczak ma w dorobku wielki zbiór medali pływackich w Stanach Zjednoczonych, a obecnie została pływaczką klubu AZS Katowice i w pierwszym starcie na Mistrzostwach Polski zdobyła komplet medali: złoty, srebrny i brązowy. Pierwszy w sztafecie 4x200 metrów, drugi i trzeci w stylu

mitylkowym (zwanym również delfinem) na dystansie 200 i 100 mterów.

Obecnie Zosia stawia sobie za cel start w barwach Polski na XXXII letnich Igrzyskach Olimpijskich w 2020 roku, które odbędą się w Tokio. My życzymy jej podobnego zestawu mistrzowskiego medali jakie zdobyła na Mistrzostwach Polski. Na pewno jest to w jej zasięgu.

(red.)



Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com

Printed and Copyrighted by Polonia Semper Fidelis